

Gołębiowski, Stefan

Wizerunek osobowy : osoba druga

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 12, 63-112

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WIZERUNEK OSOBOWY OSOBA DRUGA^{*)}

Osoba pierwsza po trzykrotnych pierwszych bezskutecznych oporach wreszcie ujawniła się, gotowa stanąć przed sądem krytycznym, żeby zadośćuczynić sprawiedliwości czyścica, wbrew piekłu i niebu, którym nie dowierza.

Bez tej pierwszej osoby nie byłoby drugiej, tak jak w kategoriach nadosobowych, w których się wychowałem, a dziś naukowo wątpliwościami żyję, bez Boga Ojca nie byłoby Syna Bożego. Pierwszemu zawdzięczamy siedem dni stworzenia świata, a drugiemu drogę człowieka przez mękę i odkupienie. Dla mnie nade wszystko doczesne, od czasu, kiedy to w mojej ziemi rodzinnej zostało zaprzepaszczone z czwartego dnia stworzenia oddzielenie ziemi od wody.

Sięgnąłem do źródeł nie eschatologicznych, lecz społeczno-literackich, gdyż Pismo Święte nieraz dociera znacznie głębiej niż wieloznaczne antyczne mity, przez co pomnażają wielość rzeczywistości i nic docierają do bezdennej głębi tajemnicy ludzkiego istnienia w sensie nadprzyrodzonym wobec tej drugiej na ziemi doczesnej, co w przymierzu z naturą i wbrew temu przymierzu wyzwala i zniewala, we własnych oczach podnosi i poniża człowieka przez pracę.

Praca pracy nierówna. Bywa dobra i zła, konstruktywna i destruktywna, służy ludziom i podporządkowuje ludzi sobie, zwłaszcza, że pieniądź w niej gra rolę decydującą. Pieniądź zachłanny w życiu osobistym, społecznym, narodowym i państwowym. Im staje się potężniejszy, tym bardziej czuje się zagrożony i z obawy zagrożenia zbroi się na wyrost, nawet kiedy nikt mu nie zagraża. Rozzuchwalony do tego stopnia, że naszemu globowi grozi zagładą ziemi, którą na obraz i podobieństwo własne stworzył człowiek na planecie.

Nie potrafię w tym destruktywnym charakterze pieniądza, co używa ogromu środków destruktywnych dla zagłady życia, nie pisać, bo w żaden spo-

*) Fragment niepublikowanych wspomnień Stefana Gołębiowskiego pt. „Wizerunek osobowy”, mps w zbiorach Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu, syg. MB/DP/361, s. 83-145 (autor nie podał daty, z tekstu wynika, że powstał on około 1984 r.)

sób nie mógłbym wierzyć w konstruktywny charakter pracy ludzkiej na ziemi i mego narodu w zjednoczeniu narodów budujących Pokój. Ludziom i narodom dobrej woli.

Może niejeden czytelnik zachnie się przy tych dywagacjach i zapyta: Co ma wspólnego ten ziemski makrokosmos w odniesieniu do mikrokosmosu ludzkiego, dzięki któremu współegzystuje w nim świat mikroskopowy.

I owszem, ma przecież elektronowy związek z energią mikronowym elementem, jakim jest atom. Przecież w jego rozbiciu za mojej pamięci odkryto jego możliwości kreacyjne i niszczyielskie, od rozwojowych do apokaliptycznych, ujawnionych dopiero w XX wieku.

Człowiek sam do nich docieklawie doszedł i z tej racji nie należy lekceważyć pozornej znikomości człowieka, gdyż on w sobie łączy przez cybernetykę możliwości teoretyczne z praktycznymi w rozwoju dynamicznym.

Tylko dzięki osiągnięciom teorii i powiązaniu jej z praktyką nastąpił postępowy rozwój życia na ziemi. W nim rolę decydującą odgrywa praca i osobisty do niej stosunek człowieka.

Jeśli ona wiąże się z powołaniem i z zamiłowaniem, wówczas wytwórczość powstaje wartościowa, a twórczość piękna. W określonym czasie i wyjątkowa w jego przezwyciężeniu. W szczytach osiągnięć.

Rodzaje pracy są różne. Inicjatywa pracy może tkwić w człowieku lub wychodzić od środowiska, w którym powołanie osobiste wiąże się ze społecznym. Takie powołanie wyniosłem z rzeki Wkry i jej krzywych kolan.

Mgła w oczach i w dolinie. Mleczny chaos, od którego świat się zaczyna bez czwartego dnia stworzenia. Słońca nie widać, chociaż już dawno weszło i nie widać wśród trzciny i tataraków wolno płynącej rzeki, tylko na rzeczonym progu Wkry słyszeć bełkot młyna, i od Wkry dźwiękonaśladowcze kra, kra, kra, co mgłę rozdziera i rozedrzyć na dobre nie może. Ta Wkra wiąże się z krakaniem wron, nazywanych u nas gapami. Być może za przegapienie i zaniedbanie przysłówiowo życiodajnej rzeki.

Słońce poszło w górę i wiatr mgły wypłoszył. Wskoczyła parkowa zieleń. Kryje pałac i tworzy wysokopienną zaporę od moczarów i bagien z matecznikiem wodnego ptactwa, zwłaszcza dzikich kaczek i gęsi. To stamtąd najczęściej słyszało się strzelaninę myśliwskich dubeltówek.

Tak z zachodu, a od wschodu, po przeciwnej stronie, podobny krajobraz moczarów i łąk podsycanych od spodu nieustanną wilgocią soczystych traw. Myśliwski od polowań zachód i myśliński od Myślińska wschód, przedzielone wzniesieniem Bieżunia, na dwóch antypodach tworzyły jakby od łąk łączny

rezerwat, kiedy tymczasem północ i południe, sięgające aż do piasków, w zagonach były własnościowe, a we wspólnotach pastwiskowe. Północ kończyła się na Jeziórku, a południe – na torfowych Bąkach.

Gdyby teraz ten krajobraz objąć widnokregiem jako całość i na niego spojrzeć jastrzębim okiem z góry, to dopiero wówczas okazałoby się, jak w nim niepodzielnie panuje rzeka w całym swoim wegetacyjnym rozkładzie.

Wkra, ongiś spławna i sławna z przysłowia o rybach i rakach, za mojej pamięci tylko jeszcze słynęła rybami i wędkarzami, co w cigiędzi, w podcieńniu drzew, płotki i okonie łowili na robaki, a grubsze ryby na kiełbie.

Jako rzeka nizinna namułami dno podnosiła w górę, a z nim – również w górę podnosiła lustro wody. To z kolei przy niskich brzegach wymagało wyższego obramowania, bo inaczej nadmiar wody wylewałby się z koryta.

Rzeka chciała mieć brzegi i rozwiązała ten problem samodzielnie: odebrała kołnierz kozucha od ilastego podłoża i w ten sposób wodą podniosła nie tylko nadbrzeża, ale i całe łąki nieraz prawie że do kolan. Poza tym, żeby brzegi podnieść jeszcze wyżej uzbroiła je w pałki trzciny i miecze tataraku, żeby strzegły i stały na straży białych lilii wodnych i żółtych grążeli.

Mówię o lustrze wodnym, a przecież po wiosennym przełomie lustro to prawie że nie istniało. Tarcze wodne liści, wodorosty z rozczesanymi warkoczami, rzęsy zielska zaoczne i naoczne kataraktą zieleni tak opanowały wodę, że rzeka upodobniała się do ruchomej łąki, a gdzie jeszcze można ją było widzieć, to bieg jej można było dopiero po liściu rzuconym ujawnić.

Rzeka, chociaż małowidoczna, jednak panowała nad całą doliną i przede wszystkim nad jej łąk zatrzęsieniem. Kto po nich szedł, pod nogami się ugiął, a kto trafił na miejsce słabsze między kępami, mógł się powyżej kolan zarwać i ledwie z trudem wykaraskać.

Poznałem te łąki z własnego doświadczenia, kiedy na drążkach do grądu dźwigałem siano z naszą pomocą domową, a ojciec dukował sam z tyłu. To była praca dźwigów w pocie czoła ponad moje siły. Po niej nawet ze skwarkami jaglaną kaszę, którą tak lubiłem, połykałem, a nie jadłem ze smakiem.

Za to w innym tempie i nastroju szła praca stożenia na suchym grądzie. Poprzedzało ją rozwalanie kopek i dosuszanie siana. Można w nim było pokoziołkować się, baraszkować, ze ściغانą upaść i niebem odetchnąć.

Żadne siano tak pięknie nie pachniało, jak zamyślińskie. Takiego zmysłowego nie było ani na Zajaskach, ani na morgach, ani na Bąkach, a tym bardziej pod Białogórą w cieniu zapomnianej olszyny.

W dolinie rzeki Wkry łąk i pastwisk nadmiar, a mimo to krowy po zimie

ledwie trzymają się na nogach. Taką, jeśli oderwie się od stada i ulgnie w łące, nieraz po brzuch, trudno wytaskać z bagna. Do tego niezbędna pomoc sąsiedzka z dragami. O takiej krowie potem mówiono: do taskajskiej rasy należy. To na przedwiośniu. Lecz z wiosną do swej czerwonej polskiej rasy wracała prędko. Boki jej się galanto wyrównywały, sierść odzyskiwała połysk i jej wymiona dzwoniły cyckami, kiedy wieczorem spieszyła do udoju.

Maj i czerwiec dla krów najlepsze, ale już w lipcu i w sierpniu, kiedy przychodziły dni skwarne, na wypalonych słońcem pastwiskach jakże często słyhać było ryk bydła, co z utęsknieniem czekało na dożywianie w oborach.

O takich krowach kartoflanych bieżuniaków mówiono, że to nie krowy, ale ogony krowie. Jeszcze na jesieni przy brukwi, pastewnych burakach i ziemniakach, nawet przy gorszym sianie, pod względem mleka trzymały się jako tako.

Dopiero zima dawała się we znaki. Bez zamyślińskiego siana ani rusz. A tu tymczasem dla tego siana w roku istniały tylko trzy miesiące: czerwiec – do obróbki i grudzień z przerzutem do stycznia – do zwózki.

Jeśli zima ostra, zwózka siana nie sprawia trudności, ale jeśli późna i do tego lekka, wówczas zawodziły nawet sanki z ludzkim zaprzęgiem. Słaby lód, pod którym kryła się duda, pękał i zimowa kąpiel gotowa, często niejedna. Dzwonienie zębów zwiastuje gorączkę i zapalenie płuc, woda z rzeki przechodzi do boku, kaszel i w rezultacie suchoty. Galopujące na czele.

Przy izbach przeludnionych miejscowej biedoty zarazki Kocha drogą wzajemnego kochania się tworzą gniazda rozrodcze, gotowe również udzielać się innym z izb sąsiedzkich, a także w łańcuchowej reakcji z domu do domu.

Choroba nie tak gwałtowna, jak cholera, co za mojej pierwszej pamięci Biezuń nawiedziła po raz ostatni, ani tak szpetna jak ospa, a jednak niesłychanie jadowita, bo żyła młodością śmierć zapowiadającą.

Po chorobach dziecięcych takich jak odra, szkarlatyna, dyfteryt, koklusz, biegunka przodowała w chorobach młodości, mniej lub więcej zaawansowanej. Towarzyszyły im okresowo zimnica, tyfus w dwóch jego postaciach, brzuszny i płamisty, dyzenteria i inne objawy niezdrovia. Śmierć nimi żyła doraźnie, a nie na stałe patrzyła w oczy oczodołami.

Z Bieżuniem byłem związany prawie przez całe życie. Jej biedotę widziałem, ale nią nie żyłem w sposób autentyczny. Za bardzo tkwiłem w domu rodzinnym, w sobie niedorozwiniętym i w szkołach, co mnie kształciły, a potem sam w nich przez 40 lat uczyłem.

Z tego powodu ten dawny Biezuń więcej niż życiem żyje we mnie cmen-

tarzem: po jednej stronie mogiłkami małymi, piaszczystymi, dziecięcymi, a po drugiej w większości zmarłymi do lat 30, najwyżej 40, chociaż wśród tych ostatnich nie brak również ludzi wiekowych.

Do nich zapewne należeli również reumatycy tacy jak ja, co żyli w stałej niepewności, gdy śmierć żyjących na pewniaka bezlitośnie kosiła, tym bardziej, że przyszło im żyć wśród wojen, jakich jeszcze świat dotąd nie widział, i w świecie rozwoju wielkiej techniki, co karmi się wypadkami.

W moim przekonaniu nie brakło też powodów innych, gdyż kogo nawiedzał reumatyzm nie sercowy, tego suchoty zazwyczaj oszczędzały. Zwapnienia stawów trafiały bowiem do płuc zagrożonych i miejsca zagrożone neutralizowały, bez lekarza i leków, w kompetencjach własnych możliwości.

Paradoksalne, w tej dolinie zagrążonej słabsze organizmy reumatyzm także nieraz ratował. Z łaski na uciechę z kolanami jak rzeka, bo powinowactwo z doliną rzeki Wkry było zagwarantowane, oczywiście za cenę niesłychanych wyrzeczeń. Polegały one na ucieczce od siebie i na szukaniu ratunku w ucieczce do innych i w pracy dla innych.

Żyłem tej doliny dopustem nie-dorzecznym. Urodzony w krajobrazie, odpychałem i podziwiałem jego okrutne piękno w niedosycie wegetacji, kochając jego urodę życia wyrosłą z wiernej rzeki.

* * *

Kończyły się właśnie czasy kultu jednostki i zaczęła się odwilż od góry do dołu i jednocześnie od dołu do góry. U steru nastąpiło III Plenum, które doprowadziła do VIII gomułkowskiego, a oddolnie wreszcie Front Jedności Narodu odwołał się do szerszych warstw społeczeństwa.

W związku z tym zostałem wybrany Przewodniczącym miejscowego FJN i z jego ramienia poprowadziłem zebranie wyborcze mające wytypować kandydatów na radnych do Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Zebranie odbyło się w dawnej drewnianej remizie, pospolicie zwanej arką ze względu na biblijny kształt i bliskość Wkry z Jeziórkiem podczas roztopów wiosennych i rozlewisk z aluzjami do potopu.

W ten sposób Wkra się wkradła do porządku dziennego odpowiednio zaanonsowana mniej więcej w takim sformułowaniu: Dolina rzeki Wkry to nasze mazowieckie Polesie. Z nim wiąże się nasza doła i niedoła. Od niedoli już czas najwyższy, żeby nas wyzwolić.

Po tych słowach nastąpiły niemilknące oklaski i rozwinęła się szersza dyskusja, w której prawie każde zagadnienie dotyczące łąk, pastwisk, krów, dróg i nade wszystko zdrowia wiązało się z koniecznością regulacji Wkry.

Pełnomocnik z powiatu akceptował nasz dezyderat przedwyborczy i zapewnił, że przedstawi postulat władzom odgórnym i one zdecydują, co należy w tej sprawie zrobić. Było to wykręcanie się sianem. Czekał tatka latka.

Z kolei przeszedłem do listy kandydatów proponowanych przez powiat, przywiezionych w teczce. Nikt ich nie znał. Ich życiorysy nic konkretnego nam nie mówiły. Sala po niedawnym ożywieniu wyraźnie przycichła.

Bez przekonania zapytałem: Czy kto w tej sprawie chce zabrać głos? A tu Grodzicki poderwał się i rąbnął prosto z mostu, tego naszego na Wkrze:

— Po co szukać radnego wśród kandydatów nieznanych, kiedy mamy z krwi i kości radnego bieżuniaka, który niech się nie obrazi na mnie, gdy powiem: „Idź, krzywymi nogami, agituj na nasze bagno”¹

Jakby kto salę poderwał i głosami w górę podniósł. Mieć swojego kandydata to coś nowego. Coś, co jeszcze się nie zdarzyło. Teren był na łasce i niełasce województwa. Powiat miał jeszcze to i owo do powiedzenia, ale gromada była głównie jednostką administracyjną.

Takiego obrotu rzeczy nie przewidziałem. Byłem po prostu zaskoczony, jakbym wpadł w pułapkę, którą sam na siebie zastawiłem. Bezpartyjny, ledwie się trzyma na nogach, kulas. Personalna na radnego osobliwie kłopotliwe.

Sala uparcie trwała przy swoim, a ja niezłomnie stałem w opozycji. Nie uchodzi. Przecież sami mówicie, że chodzę na ostatnich nogach. I gdyby tak zebrać konsylium lekarzy, co mnie na tamten świat wysyłali, to by powiedzieli, że cudem żyję. Tak się, jak mogłem, broniłem.

Wówczas podniósł się z miejsca dotychczas milczący rodowity bieżuniak młody, po starym Wolskim, lekarz² i bez podniesienia głosu rzeczowo zwrócił się zarówno do mnie, jak i do sali z tymi słowami:

— Nie trzeba cudów, Dyrektor ma organizm wyjątkowo odporny. Jest aktywny i aktywnością chorobę swoją przezwycięża. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Tu nie gadać, lecz działać należy.

W rezultacie musiałem skapitulować. Liczyłem jednak, że moją kandydaturę powiat odrzuci. Nic podobnego. Zaakceptował i województwo nie zaoponowało. Miałem kilka spotkań w powiecie i jedno w samym Sierpcu. Okazało się, że Sierpc zna mnie lepiej, niż przypuszczałem.

Potem nadszedł dzień wyborów. Frekwencja wyjątkowo dobra. Ilość głosów uzyskałem ponad oczekiwanie wysoką, a mimo to wybór na radnego

wojewódzkiego przyjąłem z mieszanym uczuciem. Niepewny mego drugiego powołania.

Pierwsza sesja WRN, z braku własnej sali posiedzeń, odbyła się na Spasowskiego w reprezentacyjnej sali ZNP. Na porządku dziennym wybór władz, założenia planowe na rok przysły i postulaty terenu.

Po wyborach Mieczysława Moczara na Przewodniczącego WRN, a następnie po ukonstytuowaniu się Prezydium i zreferowaniu planowanych prac zaczęła się dyskusja. Wielogodzinna, czytana i mówiona, o różnym natężeniu i poziomie wystawienia się.

Po 25 mówcach przez akklamację ograniczono wystąpienia do 5 minut. Ja byłem 28. Nie wiem, dlaczego? Przecież kartkę z głosem do stołu prezydiálnego złożyłem jako jeden z pierwszych. Widocznie kartki układano podług innej kolejności. Bezpartyjność, zapadła prowincja pewnie weszły w rachubę.

Sala niemożliwie natłoczona, duszna. Dym od papierosów coraz gęstszy. Jakże ten dym podobny do mgły z bagien naszych – myślałem. Żebym się czasem w tej mgle nie zgubił. Tak mało czasu, ledwie 5 minut.

Nareszcie słyszę swoje imię i nazwisko. Z trudem w przejściu przepycham się w stronę scenicznego podium. Z nieodłączną laską wstępuję na stopnie. Staję na trybunie bez żadnej kartki.

— Wysoka Rado! Piękna nasza Polska cała, piękna, żyzna i niemała! Wiele krain, wiele ludów, wiele stolic, wiele cudów, lecz najmiłsze i najzdrowsze przecież człeku jest Mazowsze!

Okragły chlebowy stół i zarazem tarcza obronna województwa z Syrenią tarczą stolicy – Mazowsze, najpiękniejsze, bo wszystkim nam leży na sercu, ale czy najzdrowsze, proszę spojrzeć (tu nieco w bok wyszedłem przed trybunę) i z tymi słowami do niej wróciłem:

— Z nogami tymi zostałem wybrany jako radny pod zawołaniem: Idź, krzywymi nogami agituj na nasze bagna i moczary, żeby pomógł je przezwyciężyć Moczar — dodaję dziś od siebie.

Nie z owocujących piasków Mazowsza pochodzę, lecz z białogórskich, co od południa graniczą z doliną rzeki Wkry. Rzeki ongiś leśnej tratwami spławnej, a potem od centralnego w dolinie Bieżunia wyróżnionego przysłowiem: Żeby nie ryby i raki, przepałyby bieżuniaki.³

Ta Wkra nizinna przez namuły rzeczne i przez nedorzeczną vegetację, kiedy lustro wody razem z dnem podniosła, w zielonej katarakcie się zatraciła. Dostępu do niej strzegą pałki trzciny i miecze tataraku.

A gdyby tę zielen z łakami podnieść w górę, to by się okazało, że rzeka

Wkra płynie w całej dolinie, szeroka więcej niż na kilometr. Łąki są jej trawiastym kożuchem, a woda nim przykryta puchliną wodną.

Wkra, Wkra, Wkra, nie darmo kraczą nad nią wrony: kra, kra, kra. Gapiami je u nas nazywają, bo w sposób nieludzki przegapiliśmy dzień stworzenia, w którym ziemia została oddzielona od wody i w ten sposób powstał mazowiecki rezerwat grząskiego uginającego się pod stopami Polesia.

Ludzie, szczególnie na wsi, coraz częściej skarżą się na niedobór wody, a tu u nas panuje takie niepoczytalne marnotrawstwo. Toteż woda za niedoceniecie jej dobrodziejstw w różny sposób na nas mści się.

Ona decyduje o kwaśnych, raz w roku koszonych, łąkach, ona zalewa miedze i świeci między zagonami, ona w oczy bryzga odpryskiem kałuż i grzęźnie w błocie dróg, ona sprawia, że chudoba chudością grzeszy.

A cóż mówić o samych ludziach. Ośrodki chorób panują nad Ośrodkiem Zdrowia. A cóż mówić o dzieciach, co w śmiertelności przodują czy o młodzieży z gminnego Liceum im. Władysława Orkana, patrona biedoty wiejskiej. To przeze mnie z gór trafił do bagien. Ręce opadają. Bez regulacji rzeki Wkry daremne żale, próżny trud, bezsilne złożeczenia.

Stoimy przed zagadnieniem kompleksowym, które decyduje o całokształcie w dolinie rzeki Wkry. Czas najwyższy przez regulację rzeki, przez zagospodarowanie doliny i przez komasację pól wyzwolić dolinę niedoli z mgieł i oparów bagien, które ją, jak tę sałę w dymach, przysłaniają. Z oklaskami powolutku zszedłem w dół po stopniach i ruszyłem szpalerem, jaki nieoczekiwanie się przede mną otworzył od trybuny do miejsca, które na sali zajmowałem. Z ulgą odetchnąłem.

Na pewno mówiłem nie bez inspiracji z pogranicza twórczego, jednak nie tymi słowami, które po latach się we mnie odezwały. Miały one swoją wagę treściową i formalną, lecz o wartości mojego wystąpienia niewątpliwie zdecydowali ci, co za mną stali. To przez nich wyskoczyło ze mnie słowo: KOMPLEKSOWE. We właściwej chwili i w odpowiednim miejscu.

Po tych pięciu minutach, jedynych w moim życiu, i po skończonej sesji, kiedy zbliżyłem się do schodów bez poręczy, podbiegli do mnie z jednej i z drugiej strony różnego wieku radni.

Jakbym był ślepcem wychodzącym z senatu rzymskiego wiedziony z całą ostrożnością, żebym się nie potknął i na schodach nie upadł. W górę szedłem sam, a w dół wracałem do swoich wsparty na ramionach bratnich.

Jako radny nie wstąpiłem, zgodnie z moim zawodem, do Komisji Oświaty i Wychowania, lecz do Komisji Rolnictwa i Leśnictwa, chociaż zarówno

z rolnictwem i leśnictwem nie miałem żadnych bliższych kontaktów z tej prostej przyczyny, że dotychczas nie leżały w sferze moich zainteresowań.

Interesowała mnie głównie moja rzeka i pod tym kątem zbliżyłem się do radnych z Komisji tych, co interesowali się melioracją z regulacją rzek, i doprowadziłem do powstania odrębnej Podkomisji Melioracji i Regulacji Rzek. Z podziału pracy mnie jako wiceprzewodniczącemu przydzielono rzeki w związku z moimi zaawansowanymi staraniami w województwie.

Z tego powodu udałem się do biura projektów na którymś tam piętrze ul. Nowogrodzkiej, gdzie rzeczywiście plany różnych rzek leżały na stołach rozłożone. Wkry jednak nie znalazłem. Dlaczego? W odpowiedzi usłyszałem: Za bardzo pracochłonna, brak odpowiedniego sprzętu i środków finansowych.

Na to krótkie uzasadnienie krótko dałem odpawę: Przeszkody są po to, żeby je pokonywać. Spojrzeli na mnie z powątpieniem, bez przekonania.

Argumenty nie były po mojej stronie, ale przypadek przyszedł mi z pomocą. Sięgnąłem do czasopism i nieoczekiwanie w jednym z nich znalazłem notatkę, że zakupiliśmy kilkanaście angielskich pristmanów⁴ i pertraktujemy w sprawie licencji (późniejszych koparek od Waryńskiego).

Nie ma co, znów podrałowałem na Nowogrodzką: Zróbcie plan regulacji rzeki Wkry, jako pionierski, a sprzęt odpowiedni przez ten czas się znajdzie. Na dowód przeczytałem odpowiedni passus anonsu z czasopisma.

Wówczas jeden z inżynierów wziął pod moje argumenty z pokrętnymi nogami i chociaż to ledwie marzec na przedwiośniu, ruszył na Wkrę i przeprowadził wstępne pomiary.

Podobno brodził w długich myśliwskich butach po pas, kiedy samolot z kamerami filmowymi robił zdjęcia Wkry z różnymi jej odnogami. Tam i z powrotem. Przy Kępie Gołuskiej takich odnóg było aż siedem.

Plan objął w górę rzeki od Bieżan za Radzanowem obszar na przestrzeni ponad 30 km, mniej więcej do mostu poniatowskiego przy wsi kościelnej Poniatowo wraz z całym dorzeczem rzeczek i strumieni.

Ogólny poszedł znacznie prędzej, niż przypuszczałem. O wiele wolniej szczegółowy, który już się wiązał z zagospodarowaniem doliny rzeki Wkry. W różnych miejscach szerokiej od pół kilometra do półtora i więcej.

Od tego drugiego planu zależał cały efekt regulacji, innej niż uprzednio na dopływie rzeki Wkry, Mławce, która zamiast poprawy stosunków wodnych, raczej je w terenie pogorszyła, bo wodę łąkom i polom odebrała.

Nikt nie chciał brać odpowiedzialności i projektanci dokumentację oddawali sobie z rąk do rąk, a kiedy wszystko już było uzgodnione, to rzeczno-

znawcy postarali się postawić zarzut, że inwestycja cała jest nie do przyjęcia, bo gleby nie gwarantują jej rentowności.

W Ministerstwie Rolnictwa jako poseł zdemaskowałem to anonimowe ubezpieczenie i to nabijanie własnej kieszeni wciąż nowymi projektami w sposób następujący: za Andrzeja Zamoyskiego były to najlepsze ziemie klucza dóbr bieżuńskich, a obecnie są najgorszymi i mają takimi zostać? Odwróciłem ten znak zapytania i na haku powiesiłem moich oponentów. Nawet języka nie pokazali. Kierownik Wydziału Rolnictwa tylko na to czekał. Było to jedno z najkrótszych posiedzeń. Trwało zaledwie pół godziny.

Mimo wszystko niewiele bym zdziałał, gdyby nie stał za mną autorytet Przewodniczącego WRN, człowieka żelaznej ręki. Jemu to głównie zawdzięczam, że dolina rzeki Wkry nie utonęła w planowaniu i rzeczywiście dzięki Moczarowi zaczęła się wyzwalać z moczarów i bagien.

Okoliczności sprzyjały. Po dojściu Gomułki do władzy zostałem wybrany nie tylko radnym, lecz i posłem na sejm. Jako bezpartyjny przez FJN przy poparciu czynników miarodajnych miałem większą swobodę działania bezkompromisowego na rzecz terenu i jego postulatów przedwyborczych.

Okoliczności sprzyjały i pod innym względem. Powiat prawie o 10 km zbliżył się do Bieżunia przez powiatowy Żuromin, do którego należało 3/4 doliny rzeki Wkry, nieuregulowanej Wisły tego powiatu.

Nowa jednostka administracyjna powstała z rozbioru trzech innych powiatów o ziemiach najsłabszych i najbardziej zaniedbanych. Żuromin przez pierwsze pięć lat dreptał w miejscu, zanim się jako tako urządził.

Po nich dopiero za Sekretarza Mieczysława Gaworskiego i Przewodniczącego Franciszka Maruchy roboty rzeczne zaczęły się na dobre. Niemałą w nich rolę odegrał Kierownik Wydziału Melioracyjnego inż. Stolarczuk.

Dyrektor Duchniewski dwoił się i troił, żeby podołać zadaniu. Z kanału Wieprz-Krzna sprowadził pływającą pogłębiarkę, nie bez uciążliwych tarapatów przy drogowym transporcie. Z niemałym trudem ją zmontowaliśmy i zaczęła się nie tyle praca pogłębiarki, co praca nad pogłębiarką. Więcej jej odpowiadała pozycja przewrotna niż zgodna z jej przeznaczeniem.

Pogłębiarka dobrnęła do Radzanowa. Tam wytaszczone ją na brzeg i zawleczono na rynek, jako wrak przeznaczony na złom i jako szyderczą reklamę pierwszych syzyfowych prac, co się na Radzanowie skończyły.

Całe szczęście, że z portfela Ciechanowa nas wycofano i przeszliśmy do Przedsiębiorstwa Robót Melioracyjnych w Płocku. Front prac znacznie się poszerzył. Inwestor gotów był ruszyć całą parą, tym więcej, że powiat jako

rolniczy parł do tego na całego. Odcinek najtrudniejszy na pierwszym planie, a tu z góry przychodzi zawiadomienie, że kredytów z banku inwestycyjnego nie otrzymamy, jeśli nie zorganizujemy spółek wodnych i nie przedstawimy listy członków, którzy do tych spółek się zapisali.

Jeździmy z kierownikiem od wsi do wsi i zbieramy podpisy. Zwłaszcza od opornych. Ludzie chętnie godzą się na spółkę, ale jak przychodzi do podpisu, to go składają tak, jakby na uciechę kulawemu diabłu co najmniej cyrograf uwierzytelniali. Żartuję z nich i z siebie. Skutkuje.

Najtrudniejsza sprawa wynikła w Myślinie. Żaden chłop nie chciał się pierwszy podpisać. Dopiero, kiedy jedna do rzeczy wdowa zdecydowała się złożyć pierwszy podpis, chłopcy z obawy przed drwiną listę podpisali. Przecież baba nie może być w żaden sposób lepsza od chłopca.

To była ostatnia lista, która powędrowała do powiatu, a stamtąd do Ministerstwa Rolnictwa. Kredyt otwarty. Dla zielonej Wkry zielone światło i powrót do drugiego nieba. Dzień ze słońcem, a noc z jego podwójnym odbiciem.

Odetchnąłem. Nareszcie zacząłem myśleć o czym innym niż o rzece. Przez długi czas żyłem pod ciśnieniem rzeki i o czym innym mówić nie umiałem, jak tylko o rzece, i o niczym innym pisać.

Odetchnąłem, i wróciłem do Szkoły. Wsiąknąłem tak w lekcje, że aż głowy mojej nie było widać. Vides ut alta stet – a tu od Sorakte pilna sprawa do gabinetu mnie odwołuje. Klasa odetchnęła, a ja znów w drugiej osobie.

Dyrektor Przedsiębiorstwa Melioracyjnego z Płocka podaje mi rękę z pytaniem: — Czy pan zechce pojechać do bazy na Sitarzu i zobaczyć Wkrę w trakcie już zaawansowanych prac regulacyjnych? — I owszem — odpowiadam krótko. Wkładam kożuszek, chwytam czapkę, biorę laskę i jazda.

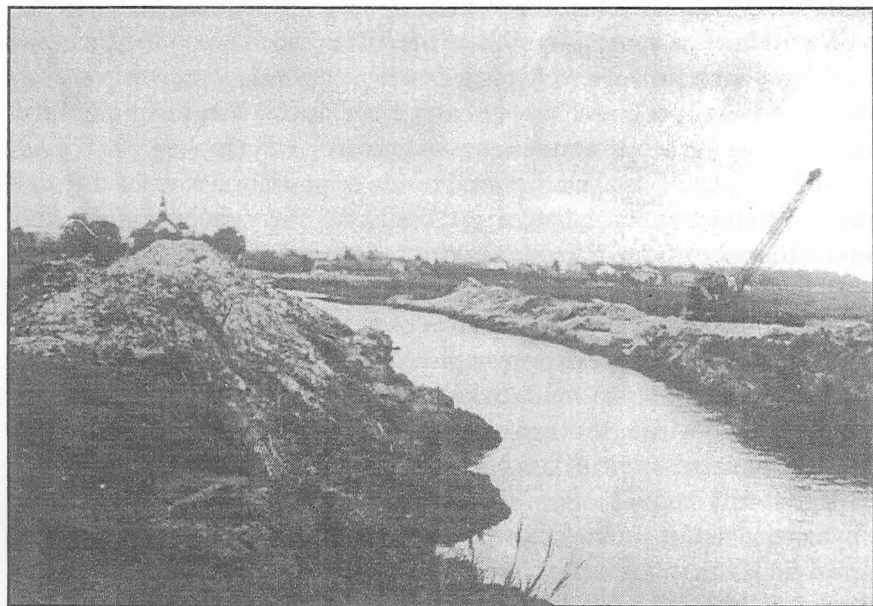
Do Sitarza z domem na wzgórzu, skąd dobrze widać rzekę i dolinę, dojeżdżamy bez żadnych przeszkód. Krótkie powitanie z Kierownikiem robót, zmiana kamaszy na buty gumowe. Wiechcie wkładam, bo moje nogi za chude i ruszamy.

Jest marzec, a ja zdjąłem kożuszek, bo i tak przy samym maszerowaniu dostatecznie się rozgrzeję. Idziemy drogą okólną do pierwszego przystanku. Nikt przy nim się nie kręci. Podobno łańcuch nawalił. Operator poszedł po nowy i jeszcze nie wrócił. Chyba nie tak prędko znajdzie, bo brak części zamiennych. Dyrektor radzi mi na tym poprzestać. Do drugiego przystanku pójda jego inżynierzy i zdadzą nam relację ze sprawności koparki.

Nie zgadzam się. Chcę iść dalej. Tak bez niczego wracać, to nie w moim guście. Brniemy dalej już po gruncie bardziej grząskim. Wlokę się w ogonie.

Ktoś mnie wziął pod rękę i do celu docieramy. Koparka stoi w miejscu, jak na złość. Taśma czołgowa nawaliła. Trudno w takim terenie pracować — słyszę.

Nie ma co mówić, prystmany dobre, ale przy tak ciężkich pracach nie zdają egzaminu. Łatwo się psują, naprawy kłopotliwe. Z operatorami też kłopot. Najczęściej zadowolamy się tym materiałem ludzkim, którym dysponujemy.



Regulacja Wkry w Bieżuniu. (Fot. M. Przedpełski)

Do trzeciej koparki Dyrektor i cała jego świta już nie chce iść. A tu na złość we mnie odezwał się osioł uparty. Chcę choćby jedną zobaczyć na chodzie. Nie ma rady, czy chcą czy nie chcą idą za mną. Stolarczuk pomaga mi lepiej z lewej strony niż laska z prawej.

Na grząskim torfowisku człapiemy krok za krokiem. Grzęźniemy lub ślizgamy się na pochyłościach wykopu. Niezła borowina. W sam raz do zimnych kąpiel, żeby nabawić się reumatyzmu.

Z najwyższym trudem dotarłem do trzeciej koparki. Nic jej nie brak, tylko kosa złamała się przy cięciu darniny. Po nową pracownik poszedł do bazy. Aż dziw bierze, że darninę tnę się tak prymitywnym narzędziem. Dy-

rektor milczy zdegustowany. Kierownik robót gęsto się tłumaczy. Baza na Sitarzu dopiero jest w stadium organizacji i nie wszystko gra należycie.

Nie ma co strzepić języka. Czas najwyższy wracać. Dom na Sitarzu widać jak na dłoni. Niecały kilometr, a może nawet pół, a naokoło najmniej dwa kilometry. Nie da rady. Nad moje siły. Postanowiłem iść na wprost. Ogólny protest. Przecież to szukanie własnej zguby. Bez ratunku zginę. Znam się na naszych łąkach. Od chłopca chodziłem po podobnych. Grabiłem siano, a kiedy podrosłem taskałem je na drążkach do stożyskowego grądu. Diabeł nie taki straszny jak go malują.

Śmiało ruszam i nie chcę, żeby ktoś szedł razem ze mną, bo we dwoje trudniej. Patrzą na mnie z dezaprobatą i z konsternacją. Już się od nich oddałem na dwadzieścia, na trzydzieści metrów, kiedy ruszyli za mną.

Żaden ze mnie skoczek, a tu z kępy na kępę idzie mi gładko, jakbym nogi miał do tego stworzone. Dopiero gdzieś tam w połowie drogi źle wymiarkowałem i wpadłem jedną nogą aż po kolano, ale drugą z laską jeszcze się na kępie utrzymałem. Wylałem wodę z buta i już odtąd szło mi gładko jak z nut, gdyż bliżej domu na Sitarzu grunt coraz bardziej się podnosił.

Mimo, że lekko ubrany, parowałem. Z takim wysiłkiem i z taką stratą energii odbyłem ten ryzykowny marsz. Do izby nie wszedłem, ale raczej się wtoczyłem. Chlapnąłem na pierwszy lepszy stołek przy ogniu.

Wyzwoliłem nogi z gumaków, zamiast własnych dostałem drugie grube skarpety i szczęśliwy wlałem w wygodne własne buty. Gorącej jak ukrop kropnąłem dwie szklanki herbaty i dziw nad dziwy, nawet kataru nie dostałem.

Dyrektor i jego współpracownicy naocznie się przekonali, że ze mną nie ma żartów. Diabeł kulawy, a nie człowiek, podobno ktoś o mnie taką wersję puścił. Diabeł by tu nic nie wskórał. Przecież tu chodzi o przyszłość ludzi, żeby zaczęli nareszcie żyć po ludzku.

Poskutkowało. Roboty w ciągu wiosny i lata tak się naprzód posunęły, że już je było widać coraz naoczniej. A przecież to odcinek najtrudniejszy koło Kępy Gołuskiej, zwanej Wyspą Juranda.⁵

Wyspa de facto zginęła, została tylko de nomine. Zginęło siedem odnóg rzecznych w tę i w tamtą stronę płynących. Pałki trzciny i miecze tataraków straciły grunt pod nogami. Lilie wodne i grązele dogorywają w pamięci nie-za-wodnej, wodorosty straciły warkocz nie-do-rzeczne. Jedyne nadbrzeżne odwieczne dęby, zwalone w poprzek, najdłużej na straconych pozycjach opór stawiały. Traktorami na stalowych linach trzeba je było z dna wydobywać i na brzeg ciągnąć czarnodrzew konserwatorski.

Z namulem rzeczonym koparki łatwo dały sobie radę. Trudności dopiero zaczęły rosnać, kiedy dotarły do twardego ilastego podłoża. Pristmany skrzybaniem nie mogły mu dać rady i rzeka nie została należycie pogłębiona.

Zginał dawny od wieków dziewiczy krajobraz rezerwatu na rzecz nieużytków niewyzyskanych pod uprawę wikliny. Nie tylko dla przemysłu chałupniczego. Niestety, front robót towarzyszących w tym kierunku nie poszedł.

Za to coraz bardziej się zbliżał do Bieżunia i jednocześnie od Bieżunia ruszył przez Strzeszewo w stronę Poniatowa. Brzegi zostały umocnione i rzeka z bujną roślinnością utraciła swoją rozlewną szerokość.

Powstał dla spiętrzenia wody nowy jaz, który odsunął się od młyna i zbliżył do pałacu. W ten sposób zginał staw z groblą i woda bieżąca przy moście ze służą – bez śladu. Wystarczy kurek przekręcić, mamy lepszą z kranu.⁶

To z jednej strony, a z drugiej stary drewniany most zginał na rzecz nowego, na wyrost powstał żelazny. Z perspektywą w stronę Kocewa i Myślińska, gdzie stan wody reguluje syfon.

Regulacja Wkry dobiegła końca. Kolej na zagospodarowanie doliny rzeki przez rowy równoległe, odpowiednio pogłębione, zwane macicznymi, i połączenie ich z Wkrą przez rowy pionowe węższe z zastawkami koniecznymi do nawodnienia łąk w czasie niedoboru wilgoci przed sianokosami.

Po uporządkowaniu działów wodnych czas przejść do samych łąk. Novum w zakresie prac melioracyjnych. Traktorami oranie łąk, należyte nawożenie i traw sianie, żeby trzykrotnie je kosić i siana zyskać trzy razy więcej. Było przy tym z niektórymi chłopami i zwłaszcza z ich babami niemało termedii. Chcieli uprawę przeprowadzić przy własnych skromnych środkach i bez należytego wyposażenia w odpowiednie narzędzia kultywacyjne.

Dochodziło do ostrych pyskówek i nawet trzeba było interwencji milicji, żeby służba rolna mogła należycie przeprowadzić powierzone jej zadanie. Wystarczył rok, a same łąki bezpodstawną protestów po trzykroć zdemaskowały.

Kośnicy z kosami zniknęli. Zamiast nich traktory krążą z kosiarkami, a za nimi suną grabarki i przyczepy po widłami ładowane siano bez suszenia z przeznaczeniem do suszarni pasz treściwych.

Zniknęły również stada krów z pastuchami. Na pastwiskach podzielonych na kwatery pasą się nie czerwone, lecz czarno-białe krowy mleczno-mięsne. Nie rogi liry rykiem podniesione w górę, lecz liry pochylone ku trawie grające słońca strunami. O tych krowach mówią, że pyskiem mleko doją.

Ja też się pochyliłem nad wodą czystą mojej wiernej rzeki, kiedy z martwych więzów wyzwolona nurtem popłynęła w starość i kiedy to przestałem być posłem i z radnego stałem się bezradnym.

Komasacja odbyła się za moimi plecami i niekoniecznie dobrze się zapisała w scalonej pamięci. Za dużo w niej było kumoterstwa w Komitecie Rolników. Cudze dobre ziemie nieraz klasyfikowano za nisko, a w zamian własne słabsze za wysoko. Z tych różnic powstawały pola większe, lepsze i bliższe ludzi możnych i obrotnych, a mniejsze, gorsze i dalsze – *minorum gentium*.

Z tymi słusznymi zarzutami bieżuniacy wiążą też niesłuszne w odniesieniu do Wkry. Mówią, że przestała być rzeką, a jest niemal rowem, ryby żyją już tylko w przysłowiu, narybek ginie na łąkach, kiedy dla ich nawodnienia służba rolna zastawki otwiera. O dzikich kaczkach mowy nie ma i bocianów coraz mniej. Całe szczęście, że bez ich podrzutkowego macierzyństwa dzieciaków nie brak. Dzięki większemu przyrostowi i coraz mniejszemu promiłu zgonów.

Może one w przyszłości znajdą sposób na pogłębienie i poszerzenie lustra wody. Może przez zbiorniki retencyjne i jeziora mazurskie da się wzbogacić rzeka. Wszak nie darmo w swoim górnym biegu zwie się Działdówka.

Kompleksowy rozbudowany początek wymaga dalszego ciągu.

* * *

Nad dwiema rzekami się pochylam. Jedną żegnam łżą ukrytą w oku, a drugą witam z uśmiechem. Rzeka mogła być okrutna w swojej urodzie, ale to była wierna rzeka zrośnięta z naszą dolą i niedolą. Mimo wszystko żywicielka.

Co innego drogi. Rzeka z dopływami je dzieliła, a mosty łączyły klawiszami balowymi w galopie grające i tańczące z kopyta. Drzewa do nich biegly i drzewa żegnały. Stały w miejscu, a jednak biegly szumne i posuwiste.

Tymczasem drogi, nie tylko te od pól, polskie biegly od zakrętu do zakrętu kręte do dróg rozwidleń z drogowskazem drewnianych protez ręki jednej, dwóch, trzech i czterech krzyżowych pod krzyżem lub bez krzyża.

Drogi do siódmych potów końskich piasek mielących mazowiecki pod mazurki ani wielkanocne ani chopinowskie. Dajmy na to, w podkowie, u nas Kościelnej do prawego ramienia krzyżówek na Władysławowo do Maka na Biezuń.

Albo drogi im przeciwne w bajorach, w rozbitych kałużach, w rozpapranym błocie kołami po sękle ugrzęzłe aż do zebranych półszorków. To na tych drogach szła pogładowa nauka przekleństw takich, jak psiakrew, psiajucha, cholera, aż do jasnej i na dobitkę kurwa twoja... nać. Niech ją diabli wezmą.

Tylko gdzieniegdzie, głównie we wsiach, z dobrych chęci to istne piekło zostało wybrukowane. Niech się na nie wóz dostał, to z bryzgami raz dwa, raz dwa w polce galopce gnał w popłochu kury, kaczki i gęsi z psów łajaniem.

Do rzadkości należały tłuczniówki, drogi bite, najczęściej słabo konserwowane. Z wyrwami i wybojami niemiłosiernymi, jak pamiętam w drodze do Żuromina, od jednej drogi chamskiej do drugiej lepiej było jechać, dajmy na to na odpust, pastwiskami za rowem niż szosą.

Taki był stan dróg w moim przygranicznym terenie sprzed pierwszej światowej wojny pod carskim zaborem. Na przekór Prusom Wschodnim, na które Westfalia, Nadrenia i całe uprzemysłowione Niemcy łożyły znaczne sumy, żeby je zdobyć przez wysoki standard kultury materialnej.

Z jednej strony niebo doczesne z piekłem germanizacji, a z drugiej piekło zaborcze z niebem klęskami powstańczym. Kultura: miatieżnikom na pohybel.

Zaniedbanie w drogach państwowych i powiatowych aż do gminnych jeszcze jaskrawiej przedstawiało się w sieci komunikacji kolejowej, bo na przestrzeni 125 km od Mławy do Nasielska w kierunku Warszawy i od Aleksandrowa Kujawskiego do Kutna w kierunku Łodzi znajdowała się przestrzeń życiowa bez kilometra drogi żelaznej.

Polska międzywojenna te bezparowozową pustynię przecięła liniami kolejowymi od Nasielska przez Płońsk do węzłowego Sierpca i dalej przez Lipno do Torunia – w przekroju poziomym, a Sierpc przez Rypin, Brodnica na północ i Sierpc, Płock, Kutno na południe – w przekroju pionowym. Postawiła krzyż, do którego Polska Ludowa nie dodała ani kilometra drogi żelaznej.

Taki stan rzeczy panował u nas do Gomułkowego Października, po którym w pierwszym kwartale roku 1957 rozpisano wybory do przedstawicielstwa nowej kadencji sejmu z pewnymi luzami demokratycznymi.

Powiat miał wielki pociąg do żelaznych pociągów, a nie posiadał ani kilometra drogi żelaznej. Chciał mieć kolej i stację węzłową w Żurominie z rozgałęzieniem do Mławy lub Działdowa i do Lidzbarka Welskiego.

Jako radny swego czasu zostałem wybrany przez gminę do spraw regulacji rzeki Wkry i zagospodarowania jej doliny, a teraz z ramienia powiatu znalazłem się na liście wyborczej kandydatów na posła z postulatem kolejno-

wym w pierwszej kolejności. Dałem sobie radę z rzeką, to i z koleją przy pomocy powiatu może sobie odgórnie poradzę.

Sejm II Kadencji ukonstytuował się. Zostałem wybrany posłem i wszedłem oczywiście do Komisji Komunikacji i Łączności. W pierwszej z nich przeważali i odgrywali rolę decydującą kolejarze, organizacyjnie tworzący jakby autonomiczne państwo w państwie.

Właśnie pod ich adresem na jednym z pierwszych posiedzeń poruszyłem postulat z mojego terenu i należycie go uzasadniłem argumentacją spoistszego powiązania Wschodniego Pomorza, dawnych Prus Wschodnich, z Mazowszem — przecież tu i tam zamieszkałego przez Mazurów.

Trafiła jednak kosa na kamień. Nawet słuchać nie chcieli. Nowe koleje na naszym terenie — marzenie ściętej głowy. Każdy kilometr kolei żelaznej z wyposażeniem uwzględniającym stacje kolejowe kosztuje miliony, a celowość gospodarcza minimalna: brak przemysłu, niski poziom kultury rolnej w większości na terenach ziemi piątej i szóstej klasy. Wskaźnik budżetowy: zamiast dochodu deficyt. Brak perspektyw rozwojowych.

Transport samochodowy, osobowy i towarowy ma szersze możliwości. Dzięki rozgałęzionym arteriom komunikacyjnym autobusy i ciężarówki pozwalają dotrzeć do najbardziej odległych zakątków kraju, jak to ma miejsce we Francji, gdzie bocznice i tory kolejowe linii mniejszej użyteczności rdzewieją jako nieużyteczne i zarastają chwastami.

— We Francji zgoda, ale jakież tam są drogi przejazdowe — zareplikowałem na przekór kolejarzom — a jakie u nas nawet w Rejonach Zarządu Dróg Państwowych, a cóż mówić o drogach na peryferiach powiatowych, gdzie panują głównie drogi polne, a tłuczniówki i nawet żwirówki należą do rzadkości. Po tym zebraniu nieliczni posłowie terenowi, jako drogowcy, żeby wydobyć się spod supremacji kolejowej, powołali do życia własną Podkomisję Drogową, która by się zajęła drogami rejonowymi i powiatowymi z gminnymi.

Zacząłem od dróg rejonowych i to nie w sejmie, lecz na jednej z sesji Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej. W wystąpieniu swoim przedstawiłem opłakany stan tych dróg nie tylko bez kilometra drogi żelaznej, lecz co jeszcze gorsze: bez jednego kilometra w drogach rejonowych dywanika smołowego, a cóż mówić asfaltowego. Z reguły szosy aż do ostatecznego wytłuczenia tłuczniówki. Drogowe przeboje od wyboju do wyboju.

Poskutkowało. Podczas przerwy w obradach Dyrektor Wojewódzkiego Zarządu Dróg Państwowych inż. Bolesław Przyłaskowski podał mi rękę

z solennym zapewnieniem, że w ciągu najbliższych pięciu lat nie wyjdzie z dróg żuromińskich, aż dotychczasowe szosy pokryje dywanikiem asfaltowym lub w najgorszym razie smołowym. To był drogowiec starej daty. Z powołania.

Ponadto obiecał dokończyć drogę od Adamowa do Zawidza Kościelnego, żebyśmy otrzymali własne bezpośrednie połączenie z Warszawą. Nie dość na tym, poszedł dalej. W Żurominie i w Bieżuniu pokrył rynki i ulice asfaltem wcześniej od Mławy i to na całej szerokości.

Drogi państwowe na dobrej drodze, a tymczasem Państwowa Komunikacja Samochodowa na poziomie dróg zaniedbanych. Żuromin jedynie posiada nieliczne autobusy z Mławą, z Lidzbarkiem Welskim i przez Biezuń z Sierpcem. Do tego dochodzi Biezuń z Mławą i na tym koniec. Nawet nie ma połączenia z Rypinem, chociaż odpowiednia droga w niezłym stanie istnieje.

Z Sekretarzem PK ruszyliśmy do PKS wojewódzkiego i kiedy Sekretarz zadowolił się uruchomieniem szlaku na Rypin, ja jeszcze sam na własną rękę przypuściłem atak o pierwsze autobusy z Warszawy przez Płońsk, Drobin, Zawidz, Biezuń, Żuromin do Mławy, tam i z powrotem, bo już droga od Zawidza do Bieżunia została definitywnie oddana do użytku publicznego.

Dyrekcja PKS likwidowała linie autobusów o małej frekwencji pasażerów, a co mówić o otwarciu nowej linii o charakterze deficytowym. Na argument odpowiedziałem przeciwargumentem: Nowy powiat żuromiński zaczyna od pozycji zerowej. Wymaga nakładów i z konieczności musi być początkowo deficytowy. Na dalekich liniach nie powinny decydować poszczególne odcinki, lecz dochód z całej trasy. Idziemy do mapy. Przecież tej drogi nie ma na mapie. Mapa stara, a droga nowa, niestety, bez PKS-u. Zobaczymy.

Wkrótce potem stanęły przystanki i w miesiąc później ruszyły autobusy z Warszawy przez Żuromin do Mławy i z powrotem. I tak samo z Mławy. Były to Fiaty, jakich drogi nasze jeszcze nie widziały.

Cóż z tego, kiedy autobusy od Drobin do Bieżunia, mimo mojej przekonującej argumentacji, świeciły pustkami, ponieważ bardziej opłacało się do kolei dojeżdżać autobusem. Tańsze były bilety kolejowe od autobusowych i nawet urzędy delegacje wystawiały na kolej, a nie na autobus bezpośredni.

Znalazłem się w nie lada opałach. Pamiętam, jak w styczniu czy lutym jako poseł jechałem z Warszawy od Drobin do Bieżunia sam jeden w charakterze bezpłatnego pasażera i takie dictum acerbum usłyszałem od kierowcy w rozmowie z konduktorem pod moim adresem skierowane:

— Co to za kalkulacja! Do diabła z taką komunikacją! Dla jednego posła autobus z Warszawy, żeby mógł się do swojej zapadłej dziury dostać.

Całe szczęście, że bilety kolejowe, bez podwyżki za przejazdy samochodowe, podskoczyły w cenach. Przy nowej kalkulacji frekwencja w autobusach znacznie się podniosła i ruch się ożywił. Doszło nawet do tego, że nadspodziewanie została otwarta nowa linia na Ostródę przez Żuromin do Warszawy i z powrotem. Z jednej i z drugiej strony.

Tymczasem w zasięgu powiatowym wysunęły się na plan pierwszy drogi lokalne uzależnione od aktywności społecznej terenu i przydziału dotacji państwowych na czyny społeczne.

Sprawa najpierw stanęła na Podkomisji Drogowej, a następnie przeszła do Komisji Komunikacji przy uchwalaniu budżetu na drogi. Dotyczyła dotacji od 30% do 60% na drogi powiatowe wykonane czynem społecznym.

Odpowiednie sumy zostały zagwarantowane w budżecie i podczas jego uchwalania dzięki interwencji posłów terenowych jeszcze podniesione o pięć milionów złotych dyspozycyjnych.

Zabiegałem, żeby do województwa warszawskiego z tych to sum dotacji trafiło się więcej niż do innych, bo chociaż to województwo przy stolicy wyodrębnione w centrum, ale pod latarnią zwykle najciemniej.

A co mówić o peryferiach województwa? Dajmy na to w Żurominie, gdzie Wydział Drogowy istniał de nomine, a nie de facto. Usprzętowanie poniżej wszelkiej krytyki. Jedynie taczki, szufle i szpadle. W sam raz do inwestycji na pół kilometra bruku z łaski na uciechę, tu i tam rozrzuconych.

Wszystko od początku pod każdym względem: finansowym, kadrowym, materiałowym i mechanicznym. To od góry. A od dołu z marazmu i wegetacji wyzwalanie aktywności przez czyny społeczne.

Zima. Martwy sezon. Drogi nie widać, śniegiem zawiana. Do Poniatowa z Żuromina pół biedy, ale z Poniatowa cała bieda. Droga nieprzejezdna w zaspach. Jedziemy przez pola na spotkanie poselskie do Chromakowa. Poseł Józef Lasota z Warszawy i ja przypisany do powiatu żuromińskiego.

Spotkanie w dawnym dworze. Wyborcy już czekają w szkolnych ławkach. Witają nas oklaskami. Zapowiedź obiecująca i zaskakujący dalszy ciąg. Po krótkiej prezentacji z całym zaufaniem głos oddajemy sali.

Podniósł się pierwszy i woła głosem podniesionym: nie ma mięsa, okrasy i masła. Do niego dołącza się drugi: nie ma kaszy, mąki, chleba. Jakbym z Niebosko-schillerowskiej słyszał: chleba nam, chleba. A tu inne jeszcze ponadto: nie ma tanich kapot, portek, koszul i nie ma z czego uszyć i w ogóle nie ma w czym chodzić. Zamiast butów ledwie gumaki.

Po oklaskach tego rodzaju reakcja. Jesteśmy zaskoczeni. Prawie że chóralne skandowanie. Przewodniczący z trudem ucisza salę. Nic nie pomaga. A tu jeszcze na dobitkę głosem dziabnięty niewypał zardzewiały rozewał się w sposób, nawet w odwilży, niesłychany.

— Polska hitlerowska! — głowy nie podniosły protestu, zastygły spoďte. W obumarłej ciszy słyszę gwałtowny wyraz protestu mego Kolegi:

— To nie głos — to się wściekły wilk w nim odezwał.

Dalszego ciągu nie pamiętam. Zrobiło mi się niedobrze. Zaprotestowałem mój ustrój wewnętrzny. Opuściłem salę główną. W bocznym pokoju włożyłem kożuszek i w czapce przez dworskie drzwi wyszedłem do parku. Rozłożyste lipy i smukłe topole przypominały mi park Derślawicki. Wilk szarpał moje wątpia. Jakby park był zarazem wilczym lasem. Szamotałem się z nim i po trzykroć zwyciężałem, zanim doszedłem do siebie. Wreszcie udałem się do drzwi, w których ujrzałem klucz. Wyjąłem go i drzwi zamknąłem od środka.

Wróciłem do siebie i wróciłem na salę. Poseł Lasota też jakby się w sobie uciszył. Mówił w opanowaniu rzeczowo. Sala nie protestowała i nie wyrażała akceptacji. Na dwoje babka wróżyła. Skończył i spojrział na mnie w milczeniu. W milczeniu wstałem. Podniosłem głowę i głos:

— Jako posłowie nie jesteśmy od tego, żeby na spotkaniach zbierać śmieć, ale nie chcemy również, żeby nas fetowano tym, czego nawet pies nie tknie, chociaż ścierwem się żywi.

Żywicie się zanadto protestem. A protestami jeszcze nikt nikogo nie nakarmił do syta. Nie jest tak źle, żeby was wszystkich na równi traktować. Wygląd większości temu przeczy. A jeśli chodzi o gumaki, to przecież są one lepsze niż przedwojenne folwarczne klompy.

Zresztą nie w tym tkwi istota rzeczy. Przechodzę do słów, przez które zmuszony byłem opuścić salę. Cały wzburzony organizm zmuszony byłem uspokoić, żeby przyprowadzić go do należytego porządku.

Gdyby tutaj pod Chromakowem wzniesć stos z sześciu milionów ofiar hitlerowskich zbrodni, to by tu na równinie Mazowska powstała największa góra zbrodni, jakie dzieje nasze nie widziały.

— I za czasów stalinowskich ludzie ginęli — słyszę w replice.

— Nie ma innej rady — odpowiadam — Sami rozstrzygnijcie. Kto podczas ostatniej wojny stracił syna, męża, ojca? Kto matki, żony córki wpędził do grobu? Któraż rodzina nie poniosła strat wśród bliskich i dalszych krewnych? Przez podniesienie ręki powiedzcie.

Prawie wszyscy ręce w górę podnieśli. To był las rąk, w którym milczenie nabrało wagi. W nim jednak jeszcze nie mogłem przemilczeć głosu opo-
nenta i do sali odwołałem się po raz drugi.

— Kto zginął w czasach stalinowskich? — nikt nie podniósł ręki. Tylko jeden 10 miesięcy siedział w więzieniu. Karty otwarte, a tu ostatnia dobitka.

— I u nas bezbronnych biją pałkami.

— Jakich bezbronnych? I za co? — a głos odpowiada z sali:

— Sekwestratora ktoś tam chciał umitygować i za to dostał pałką po grzbie-
cie. Za czynny opór władzy. Za to maszynę do szycia zostawił w spokoju.

Nieprzejdane milczenie nareszcie ustąpiło i odezwał się głos trzeźwy.

— Dosyć tego gadania! On sam nie wierzy w to, co mówi, i tylko tak się
użera na udry, żeby zgrać się do reszty. Uchłał się i dlatego ludzi jątrzy.

— Wreszcie po tych bezdrożach znalazłem drogę do was. W pierwszej
kolejności nie widzę innej, jak z Poniatowa do Chromakowa i na Lutocin
w stronę Sierpca. Pod autobusy niebieskie z komunikacyjnego nieba.

Jakbym trafił w dziesiątkę. Wyzwoliłem ręce do oklasków. Spontaniczność
reakcji, jak w karczmie soplicowskiej. Nad oczekiwanie, żeby zagrały czyny.

— Konieczne są kamienie — siedłem za ciosem na osłep — Nie w ka-
mionkach pod pryzmy kamieniarzy z młotami, ale w wielkich gromadach
pod kruszarkę, która je przerobi na kruszywo. Proponuję z hektara po me-
trze. Lista z podpisami od zaraz. Proszę się zgłaszać. To dopiero początek.
Kiedy kamienie zbieriecie, zacznie się praca przy rowach i nawożeniu
nawierzchni.

Kamieni na polach nie brak. Podpisy się posypały. Byli i tacy, co dwa
metry z hektara zobowiązali się zebrać. Mówili, że wyjdzie to polom i kosom
na dobre. Kierownik szkoły zapewnił, że młodzież szkolna do tej akcji też się
włączy. Cała wieś wyjdzie w pole, jak tylko wejść będzie można.

— Jako Kierownik Wojewódzkiego Wydziału Rolnego postaram się, żeby
powiat żuromiński otrzymał z przydziału kruszarkę i wał drogowy. — Kole-
ga z Województwa obietnicą kończy zebranie.

Kierujemy się w stronę wyjścia, a tu Przewodniczący Gromady i Sołtys
otwierają, dotąd zamknięte drzwi od pokoju gościnnego, gdzie stoi stół nakry-
ty obrusem i suto jadłem zastawiony. Wędliny, masło, chleb, bułki, kawa, her-
bata i ma się rozumieć czysta, i to wyborowa. Widać z biedą można wytrzymać.

Nie wykręcisz się, nie wymigasz, gotowi się obrazić i nie wiadomo, jakie
by mogły z tego wyniknąć następstwa. Pić nie lubię, i co gorzej, picie szkodzi
mi, zwłaszcza nogom, już i bez picia podobne raczej do pijanych.

Dla świętej zgody jednak piję bez względu na zdrowie. Przez dwie moje kadencje poselskie, głównie przy czynach społecznych, wypilem ponad miarę.

Wracamy z bocznym wiatrem. Ślad drogi, którą jechaliśmy do Chromakowa już przed nami zawiany. Należy nowy, własny torować. Utykamy w kopnych zaspach. Pchamy nasz pojazd mechaniczny, jak kto może.

Z trudem dojeżdżamy do Żuromina. Nie tak łatwo będzie zbudować nową drogę. Nie wystarczą obietnice i dobre chęci. Dobrymi chęciami podobno piekło wybrukowane. My zasadniczo z brukami kończymy, a zaczynamy od kruszywa, do którego nawierzchni niezbędna jest smoła, choćby z piekła rodem.

Nieraz wiele zależy od przypadku i dobrego początku, jeśli czas i miejsce sprzyjają. Żuromin dwie sroki chwycił za ogon. Mam na myśli rzekę z melioracjami i drogi. Dwie chwycił, jak przystało na powiat z trzech ogonów powstały, i obie do końca za ogon, wbrew przysłowiu, utrzymał.

Odwaga śmiałym sprzyja. W przerwie obrad sesji WRN wywołuje mnie Przewodniczący WWRN i przedstawia mi nowego Kierownika Wydziału Drogowego. Drogowca co się zowie, technika Zania. Zna się dobrze na drogach. Ma serce do roboty. Sporo dróg już wybudował. Można na niego liczyć.

W ciągu jednego roku stworzył bazę, następnie ściągnął z północnej Polski sprzęt wybrakowany z różnych jednostek wojskowych. Z dwóch maszyn drogowych zmontował jedną, podobnie w ciężarówkach. Kruszarzę z Województwa postawił pod górę nabieranych kamieni i zaczął je trzaskać.

Okazał się doskonałym organizatorem i umiał ludzi w terenie do pracy mobilizować. Przy czym głównie uwagę skierował na jedną trasę uderzeniową. Ruszyły jednocześnie prace w Chromakowie, w Przeradzu i w Lutocinie.

Dogadał się z powiatem sąsiednim. Sierpc wyszedł nam naprzeciw. W ciągu dwóch lat wybudowaliśmy 14 km. Niestety, ilość nie szła w parze z jakością. Tłuczniówka, bruk, stabilizacja cementem, smołówka nawzajem się wymieniały, ale jak na nasze pierwsze możliwości i tak było wiele.

Powstało najkrótsze połączenie Żuromina z Sierpcem. Do tego droga do kolei krótsza o 4 km. Zadatek pod arterię komunikacyjną, od której biec wkrótce zaczęły w różnych kierunkach rozgałęzienia.

Na uroczystość otwarcia tej drogi i ruszenia autobusów z Lutocina do Sierpca i do Żuromina zjechali Wiceminister Gajkowicz, Pierwszy Sekretarz KW M. Jaworski, przewodniczący WWRN Mierzwiński, prof. Skarżyński, od którego otrzymałem książkę z dedykacją, Kierownicy Wydziału Dróg i Przedsiębiorstwa PKS, przedstawiciele prasy i cały szereg innych zaangażowanych społecznie gości zaproszonych.

Dla nich w Bieżuniu własnym sumptem z miesięcznych diet poselskich wyprawilem bankiet w sali gimnastycznej, jak na moje skromne warunki dosyć huczny. Wszak to były pierwsze zrękowiny na nowej drodze życia.

Drodze przełomowej. Od niej zaczął się front pracy na większości połączeń dojazdowych. Kamienie z pól ruszyły do dyspozycji gromad. Własna na miejscu kruszywo poważnie obniżyło cenę budowy dróg, przy których pola bez kamieni zyskiwały na wartości uprawnej. Za jednym zamachem podwójna korzyść. W zielonych polach zielone światło dla dróg.

Czyny społeczne zaczęły rosnąć jedne po drugich, jak na drożdżach. Jedne pociągały drugie. Groziły przerostami ilości. Planowanie nie mogło nadążyć. Ludzie niecierpliwi nie chcą czekać. Gotowi do działania na wyścigi.

Sadłowo do szosy żuromińskiej buduje drogę własnym sumptem, bez dotacji państwowych. Powiatowemu Zarządowi Dróg Lokalnych, co się w Powiatowym Wydziale Drogowym usamodzielniał, za pomoc mechaniczną płaci kamieniami na inną drogę wiodącą przez piaski, gdzie panuje głód kamienia.

Glinki zostały pominięte w planach. Autobus ma iść inną trasą. Powiat tak zdecydował, a chłopie mimo to władze terenowe zmuszają do zmiany decyzji. Bez subwencji w czynach drogowych, za przejazd autobusem włożyli w drogę sumę niebagatelną 600 000 zł.

Niemal każde spotkanie w terenie bezpośrednio lub pośrednio wiodło do budowy nowej drogi. W większości utwardzonej – gdzie kamienie, a gdzie żwir – do żwirówki, żeby w przyszłości na nie położyć dywanik.

Wschodnia część powiatu od drogi Żuromin-Lutocin w stronę Sierpca w pracach drogowych wysuwa powiat z ostatniego miejsca na pierwsze. Zdobywamy po trzykroć sztandar wojewódzki. W rezultacie na własność.

Tymczasem na zachód jeszcze teren nie rozbudzony. Przekonałem się o tym na spotkaniu w Sinogórze, w gromadzie nomen omen, Syberia. W chacie pod strzechą, w szkolnej izbie oświetlonej małą naftową lampą.

Wita mnie Przewodniczący GRN w słowach, które zakrawają na przesadę, a są niewątpliwie prawdą, gdyż przedstawiciel powiatu, który obsługuje zebranie, milczy bez słowa protestu.

— Jesteś, pośle, w drugiej co do wielkości po Bieżuniu gromadzie, w której nie ma ani kilometra drogi bitej, ani jednej żarówki, wszystkie szkoły albo w barakach, albo w chałupach. Nie mamy lekarza ani felczera, ani punktu weterynaryjnego, ani punktu skupu, ani poczty, ani nawet do Gromadzkiej Rady telefonu. W roku spisu ludności za meldunek informacyjny do powiatu posłańcowi konnemu płaciło się siedemdziesiąt złotych. U nas „nie ma” panuje.

— A co macie? — ciekawie spytałem, jak Radczyni w „Weselu”.

Wówczas w oświetleniu naftowej lampy podniósł się wysoki chudy chłop wraz z cieniem, który, nie mogąc się zmieścić na ścianie, na suficie się załamał, i usłyszałem z flegmą jego wykrztuśny głos:

— Od czasu do czasu mamy poborcę i milicjanta.

Obiecałem w pierwszej kolejności telefon do Gromadzkiej Rady Narodowej w Syberii. Nie przyszło mi to łatwo. Interweniowałem u Ministra Moskwy i nic nie wskórałem. Dopiero na pożegnaniu przed następną kadencją wyborczą w przerwie dzięki jednemu z Podsekretarzy Stanu udało mi się to połączenie zdobyć przez żart pod adresem Ministra Łączności:

— Tutaj Moskwa, a tam Syberia, jak to jedno do drugiego pasuje. Przecież to jest w całym tego słowa znaczeniu Łączność przez Moskwę.

Od tego czasu jakby się coś w tym wielowiekowym zaniedbaniu odmieniło. Dzięki ludziom społecznego czynu i władzom, które stanęły na wysokości zadania. Mam na myśli Sek. KP Mieczysława Gaworskiego i Przewodniczącego F. Maruchę, umiejących się z ludźmi dogadać.

W związku z tym, „Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia” powtarzam za Byronem, Mickiewiczem, Dąbrowską, oczywiście w nowym kontekście. Syberia dawna do obecnej niepodobna. Jej wszystkie NIE stały się TAK.

Syberia po dwudziestu latach już miała wszystkie drogi kierunkowe smolowane i ostatnio asfaltowe z autobusami na Żuromin, Brodnicę i Rypin. Wszystkie wsie zelektryfikowane, szkoły w budynkach nowo wzniesionych, dom nauczycielski, Ośrodek Zdrowia. Wet., punkt skupu, sklep, poczta, nowy budynek GRN.

Wiele mówi się u nas o czynach społecznych w zakładach pracy, w różnego rodzaju przedsiębiorstwach, o zobowiązaniach organizowanych z racji wielkich wydarzeń krajowych, rocznic i wyjątkowych uroczystości.

W cieniu ich giną czyny nie tak wielkie, lecz społecznie nie mniej cenne i znaczące. Nie tyle organizowane i planowane na wyrost, ile spontaniczne w gromadzie wykrojone nawet z gorącego czasu żniwnego.

Poza tym za mało się mówi o geografii czynów społecznych. Im bardziej teren zaniedbany, tym podatniejszy do prac, które go mogą uaktywnić. Tymczasem teren o wyższym poziomie kultury materialnej nie skory jest do prac społecznych. Jak ludzi nie zorganizujesz, to dobrowolnie nie będą pracować.

W tej geografii czynów zachodzi stosunek nie wprost, lecz odwrotnie proporcjonalny, zgodnie z tym podobny stosunek powinien istnieć w podzia-

le dotacji. Im bardziej zaniedbany teren, tym większe nakłady na czyny społeczne, bo bardziej się opłacają, niż na terenach zaawansowanych.

Obok tych dwóch kategorii czynów istnieje również trzecia. Tworzą ją czyny urzędowo usankcjonowane, do pewnego stopnia biurokratyczne. Statystyki godzin urzędowych na papierze z atrakcyjnym „tykendem”. Panuje w nich taryfa ulgowa: liczą się godziny, a nie wartość pracy wykonanej.

Wolę już wieś zapadłą, która sama decyduje i liczy przede wszystkim na siły własne. Drogi drzemią w chłopach i czekają, żeby się ujawnić. Z Boguszewca do Lutocina widziałem takich torujących drogę przez las.

Dojechać autem nie sposób. Trzeba w pocie czoła do niej iść przez piaski i z piaskiem w oczach pod wiatr widzieć pracę iście z chłopskim uporem wykonywaną. Kto małego serca, gdyby się tam przypadkiem znalazł, ten dopiero by pojął, co może człowiek wydobyć z siebie, jeśli do niego dłoń pomocną wyciągnąć i wspomóc sprzętem mechanicznym.

Dobrodziejstwo drogi nigdzie nie jest tak cenione, jak tam, gdzie tej drogi nie ma i autobusy nie docierają. Ileż mordęgi, ileż marnotrawnego czasu na przejazdy i powroty do i od: gminy, punktów usługowych, sklepów zaopatrzeniowych, szkoły dla dzieci, Ośrodka Zdrowia dla chorych.

Droga daje większe możliwości rozwojowe, wciąga ludzi do życia, wyzwala aktywność, sprzyja postępowi, pomnaża oświatę, podnosi poziom zainteresowań, zachęca do naśladowania. Ludzi jednych do drugich zbliża, wiąże, łączy.

Zwłaszcza droga tym bardziej droga – z trudu i znoju powstała.

„Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia”. Przestałem być poetą, radnym, dyrektorem liceum za to, że w rok potem Liceum weszło do szkoły nowo wybudowanej. Drogi, które sobie torowałem, przestały być moimi drogami.

Nie było innej rady. Sam w sobie musiałem szukać drogi we własnej twórczości i nawet przewoźnego obola w niej nie znalazłem. Została mi tylko ucieczka w czasie połączona z ucieczką w przestrzeni.

Przez Czarnolas do Sabinum. Na Tysiąclecie Państwa Polskiego przełożyć wszystkie PIEŚNI Horacego na poetycki język wyrosły z naszej pięćsetletniej tradycji. I w ten sposób wykorzystać swój warsztat literacki.

Przez cztery lata pracowałem w niesłychanym trudzie, żeby z czasu straconego wydobyć czas odzyskany nie własny, lecz Poety, pierwowzoru znakomitego, którego stałem się, jak przystało na syna wyzwolenca, wyzwoleniec, wbrew profesjonalistom, filologom wiernym i zarazem niewiernym w kształcie artis.

Przez cztery lata żyłem z nim w różnych bezdrożach i nie mogłem dłużej. Wówczas mazowieckie przyszło mi z pomocą. Jako radny wojewódzki po raz 4 wybrany wróciłem do dróg lokalnych w moim niewdzięcznym powiecie. Kierownik Zań, niezrównany organizator bazy i czynów terenowych, przy rosnącym nastawieniu na jakość wykonywanych robót, nieoczekiwanie zszedł na manowce i musiał odejść. Nie bez sądowego wyroku, mimo że tyle dobrego uczynił dla naszego powiatu zaniedbanego, szczególnie w drogach.

Jego starszy i bardziej doświadczony następca Roman Romański okazał się dobrze znającym się na rzeczy drogowcem, zabieglwym w gromadzeniu materiałów, w rozbudowie żwirowni i bazy mas bitumicznych. Ale nie bez ale.

W stosunku do ludzi, niestety, mniej przystępny i bardziej apodyktyczny. Kto za nim – dobry, kto mu staje na drodze – zły. Jednak z moim zdaniem się liczył. Rozumiałem go lepiej, bo był starszy.

Od przednówka, kiedy łatwiej o ręce do pracy, razem zaczynamy. Swojęcina na 200 m bagiennego przełomu. Konieczny żwir, nie ma kto rowów wykopać i uporządkować poboczy. Wieś głucha na wszystkie wezwania i ponaglenia. Chłopi wprawdzie pragną mieć mostek na Obrąb, bo obecnie przez objazd niszczą własne łąki, Kierownik natomiast uparł się, nie wierzy chłopom i chce wprawdzie wykonać prace połączeniowe na drodze ze Swojęcina do Poniatowa. Nie ma innej rady. Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

Jadę do Żuromina i za sto złotych kupuję „Księgę pamiątkową” czynów. Następnie z Wiceprzewodniczącym Sidwą i Kierownikiem Romańskim ruszamy do Swojęcina zbierać podpisy do księgi na czyny drogowe.

Jestem przeciwny ogólnemu zebraniu. Dwie trzecie wsi mieszka na parcelach i na zebranie przyjdzie w kratkę, jeden tak, drugi nie. Żyją w odosobnieniu i mało interesują się sprawami własnej wsi. Złe drogi też są dobre, byle mieć święty spokój – tak o parcelantach początkowo myślałem.

Zaczynamy od pierwszej chaty. Moi współtowarzysze ludzi sprowadzają do auta, a ja po krótkim wprowadzeniu, jaki charakter ma „Księga pamiątkowa”, zbieram podpisy, na jakie kogo stać przy czynie społecznym. Z końmi czy pieszo. W pojedynkę czy w parze. Jedna osoba czy więcej.

Czyn na dwudziestopięciolecie Manifestu Lipcowego. Nikt nie odmawia. Tylko w dwóch domach drzwi zamknięte na amen. Sołtys zapewnia, że i bez podpisu w dniu czynu drogowego nie sprawią zawodu.

Jeszcze lepiej poszło na parcelach. Nikt dotąd do nich w akcjach społecznych nie zaglądał i nie dojeżdżał. Odwiedzina czuli się zaszczytzeni. Chcieli nas gościć, aleśmy nigdzie nie wstępowali.

Objazd przedłużył się do godziny piątej, a może nawet szóstej po południu. Tak głodem drogowym karmiliśmy nasz głód biologiczny, że aż nam kiszki walca grały. Z podskokiem i z przytupem na wybojach.

Dwukrotnie w dniu zobowiązania z Kierownikiem sprawdziliśmy uczestnictwo. Było nad podziw. Tylu furmanek i tylu ludzi Swojęcina jeszcze na drogach nie widział. Krążyły w jedną i w drugą stronę od rana do zmierzchu. Rowy zostały, jak należy wykopane, a pobocza uporządkowane.

Bagnisty przełom po miesiącu utwardzony cementem stał się przejezdny. Mostek uprościł uciążliwy objazd przez łąki. Tylko dywanik smołowy zawiódł. Należało w pierwszej kolejności ratować drogi o gorszej stabilizacji.

Już była druga połowa jesieni, kiedy na dobre ruszyły prace nakrywkowe. Powiat postanowił oddać drogę do użytku na 25-lecie odzyskania niepodległości. 19 stycznia miał ruszyć pierwszy autobus.

Tymczasem data ta w inny sposób się utrwaliła. Zima nadeszła wyjątkowo śnieżna. Wieś przygotowała się na uroczystość otwarcia i nie mogło być mowy o przesunięciu terminu. Władze były tego samego zdania i za pierwszym autobusem autami przybyły do Swojęcina.

Jak na wieś w szkole wyjątkowo okazałej, w sali gimnastycznej, stół w podkowie ugiął się od jadła i napojów. Na powitanie władz muzyka zagrała marsza weselnego, a ja naraz wpadłem na pomysł zagrać starego swata.

— Panna Młoda Droga niech nam żyje, do jazdy zawsze gotowa — wzniósłem toast. Wszyscy zerwali się z miejsc i wyskoczyło niech żyje: Sto lat...

— Sto lat to za mało — woła Przewodniczący Wilhelm Piworowicz — Panna Młoda Droga niech wciąż będzie młoda i nigdy się nie starzeje.

Te i inne toasty spełniamy przy muzyce i śpiewie. Nie brak też popisów solowych i występów recytatorskich zorganizowanych przez Szkołę, w której Kierownik z Żoną, Jaworscy, są moimi uczniami i absolwentami Liceum biezuńskiego. W ten sposób w szkołach innych dalej żyją.

Jestem zachwycony ludźmi z tej wsi rozśpiewanej i tak spontanicznie wesołej. Jakże nieraz mamy powierzchowne wyobrażenie o wsi zapadłej, która jednak mimo wszystko zaciekawia wciąż jeszcze kolbergowskim folklorem.

Robi się późno, czas i śnieżycy nagli. Więc na pożegnanie strzeżmy.

— Poprawiny w Strzeszewie na Lipcowe Święto, albo raczej drugi dzień wesela, żeby trzeci mógł się odbyć w Biezuiniu.

Do domu nie więcej niż pięć kilometrów, lecz nie ma mowy, żeby autem dojechać. Nawet konie nie dadzą rady. Pozostał jedynie Żuromin. Jak się wkrótce okazało, wstąpił do piekieł, po drodze mu było.

Białe piekło pod Poniatowem. Po weselu pokładziny. Wysiadka. Zmobilizowana siła weselników ruszyła do natarcia i przetorowała drogę. Dopiero z wielkim trudem o północy stanęliśmy w powiecie.

Biezuń nie zbliżył się do mnie, ale się jeszcze bardziej oddalił. Przez dwa dni i dwie noce siedziałem na pokucie w Żurominie. Dopiero dnia trzeciego przyszła dmuchawa i uwolniła nas z niewoli nawianej, śnieżnej.

Na 22 Lipca w Strzeszewie rzeczywiście nastąpiły poprawiny. Czy raczej drugi dzień wesela. Piękna, prosta jak strzała droga do Swojęcina ze Strzeszewa została oddana do użytku. Ruszył pierwszy autobus do Żuromina. Strzeszewo od Bieżunia jeszcze dzielią ponad trzy kilometry. Połączenie jedno z najgorszych. Szczególnie na odcinku wzdłuż Wkry. W czasie roztopów wiosennych i długotrwałych deszczy, szarug jesiennych rzeka przelewa się co rok przez brzegi i w drodze czyni nieprzejezdne przełomy.

Ileż w szarwarkach żwiru, piasku, gruzu, ileż olch i chojniaków poszło w błoto na marne. Koła po sękle grzęzły w bajorach. Konie naprężone struny półszorków rwały na strzępy. Kałuże bryzgały w oczy przekleństwami.

Próżno i darmo, takiej drogi nikt nie wybuduje bez większego nakładu budżetowego. Dobrze wiedzieli o tym melioranci i drogowcy, ale oni nie byli w stanie złu zaradzić ze względu na ograniczone limity. Nie było innego wyjścia. Zwróciłem się do Przewodniczącego WWRN Józefa Pińkowskiego z prośbą o pomoc. Jak zwykle w trudnych sytuacjach niezawodny. Z nadwyżek budżetowych na tę inwestycję przeznaczył niezbędne dwa miliony złotych i one ostatecznie zdecydowały o wybudowaniu tej drogi.

Wiele było kontrowersji między wydziałami melioracji i dróg powiatowych natury merytorycznej. A kiedy zostały przezwyciężone, czas wykorzystania limitu z dwóch lat ograniczono do niecałego półrocza, gdyż władze odgórne sądziły, że w tak krótkim terminie inwestycji nie wykonamy.

Nie wiedziały jednak, z jakimi ludźmi mają do czynienia. Strzeszewo stanęło na wysokości zadania. Ludzie i konie na każde zawołanie. Roboty w polu, nawet w czasie najgorętszym, po godzinach pracy.

Wszyscy bez wyjątku, ojcowie, synowie i córki, kto tylko zdolny do jakiej takiej pracy, każdego widziałeś na drodze przy szuflach lub szpadli. Mężczyźni przy kopaniu rowów, dziewczęta przy zwalaniu piasku z przyczep.

Od Strzeszewa droga raźnie posuwała się naprzód, a od Bieżunia wlokła się jak ślimak. Zwłaszcza na pierwszym odcinku przez dawną groblę, gdzie konieczne są nasypy od 1,40 do 1,60 m wysokie.

Ciągniki i koparka pracują na odtrąbionego. Piasek wożą z Tatarskiej Góry, dzięki czemu jednocześnie powstaje droga do Maka. Mimo to gotowych już jest 50 m do położenia bruku. Kamienie na placu czekają, a dróżnicy i brukarze siedzą i spacerują, jakby to nic ich nie obchodziło.

Gospodarz ze Strzeszewa pyta mnie, co robić. Czas żniwny gorący, a tu takie bałamuctwo. Nie ma innego wyjścia. Proszę, żeby jechał za mną. Podjeżdżamy pod gromadę kamieni. Biorę się do rzucania na furę. Do dróżników wołam, pomóżcie. Z niechęcią biorą się do pracy. Kamieniarze idą w ślad za nimi. Następnego dnia brukarze ruszają do pracy, a ja z dróżnikami na furę kamienie ładuję i zwalam z fury. Przyjeżdża kierownik. Jest zgorzszony, że ja się do podobnych prac biorę. Milczę i nie odpowiadam.

Milczę i robię swoje. Nie ma co ze mną gadać. Z innych dróg ściąga ludzi z ekip i nowe ciągniki do wożenia piasku zdobywa w Dębsku. Praca rozkręca się z dnia na dzień. Nabiera rozmachu, chociaż Biezuń do tej zbiorowej akcji prawie się nie włączył, przekonany, że ja jeden wystarczę.

Dwoję się i troję na tej drodze. Jak mogę, każdego zachęcam. Dobrym słowem i papierosami. Chociaż sam nie palę i palenia nie znoszę. Nosilem je paczkami w kieszeniach, zwłaszcza dla brukarzy. A więc i dymkiem od papierosa drogę budowałem.

Brygada PZDL-u z początku na Bieżuniu ospała i mało aktywna, w miarę posuwania się robót naprzód coraz bardziej się jednoczyła i cementowała, wprost do niepoznania, godna podziwu.

Jesień głęboka i robotnicy w głębokich rowach. W błocie upaprani jak nieboskie stworzenia, aż żal patrzeć, a mimo to podnoszą do mnie w górę głowę z uśmiechem, kiedy ich sztachnięciem częstuję.

Mrozy i zawieje oszczędziły nas i na 15 grudnia, stosownie do zobowiązania Władz Powiatowych, Strzeszewa i kierownictwa PZDL-u z jego brygadami, droga łącząca Strzeszewo z Bieżuniem została oddana do publicznego użytku.

Mimo to trzeciego dnia wesela w Bieżuniu nie było, bo na takie Biezuń nie zasłużył. Zaczął już działać na własną rękę. W inicjatywach prywatnych się zakurzył. O czyny społeczne mało dbał. Nie widział w nich dla siebie bezpośredniego profitu.

Nic nie miał przeciw temu, że droga powstała. Przecież dzięki niej zyskał drugie połączenie z Żurominem, okrężną obwodnicę, dojazd ułatwiony do łąk na Zajaskach i drogę do spacerów w malowniczym krajobrazie dorzecznym.

Niedługo potem mimo znacznych zasług Kierownik R. Romański odszedł,

nie umiał bowiem przestawić się z dróg smołowanych na asfaltowe, a tego wymagały ograniczenia smoły na rzecz asfaltu, znacznie trwalszego od smoły.

Po Zaniu i Romańskim przyszedł trzeci Kierownik Andrzej Małek, który łączył w sobie, mimo wieku młodego, zalety jednego i drugiego, dzięki którym mógł rozbudować bazę i powiatowi dać drogi asfaltowe podobne do rejonowych. Dobrze się z nim pracowało mnie staremu z młodością w przymierzu.

Drogowcy zawsze byli mi bliscy – od Gajkowicza, Buszmy i Przylaskowskiego z Dyrektorami Wojewódzkimi do Kierowników Powiatowych PZDL-u. To dzięki nim za pracę na drogach ja bezpartyjny humanista, nie żaden drogowiec, otrzymałem odznakę Przodującego Drogowca.

Gdybym miał drugie serce, to oddałbym drogowcom i chłopom w czynach społecznych, bo przez nich droga wiedzie do mnie wielodrożnego...

* * *

Działalność moja jako dyrektora Liceum i przez powiązanie z powiatami operatywność radnego mazowieckiego osiągnęła swoje terenowe apogeum w interwencyjności posła jako reprezentanta interesów całej Polski Ludowej.

Te coraz szersze widnokreśli, gdy po dwudziestu latach zaczęły się ku ziemi zbliżać, straciły oko słońca na rzecz stopniowego ograniczenia pola zasięgu: z mazowieckiego województwa do ciechanowskiego i z powiatu po jego skasowaniu do gminy i samego Bieżunia w drugim dwudziestoleciu. W dolinie rzeki Wkry ten Bieżuń zajmuje pozycję centralną i w swoich drogach ma trzy mosty, jeden długi żelazny przez rzekę i dwa drewniane przez rzeczki: jeden niedaleko ujścia, gdzie Swojęcianka malusia do większej siusia, jakby to powiedział Klonowic, i drugi na pierwszym kilometrze od Bieżunia nad Lutą most karnyski, od Karnyszyna, niegdyś grodu spalonego przez Szwedów. Podanie o nim mówi, że łączył się pod rzeką lochem ze starymi welbowanymi piwnicami zamku dawnego, obecnie pałacu.

Przez te trzy mosty, a raczej przez pięć, bo był jeszcze czwarty przy młynie ze służą i piąty na miejscu zwodzonego most wiodący do pałacu – przetaczała się cała przeszło pół millenijna historia od rybackiej osady ze schyłku czasów piastowskich do początku z jagiellońskich grodu i miasta, podobnie jak Zieluń, Lubowidz, Radzanów czy Szeńsk nad Mławką, wpływem Wkry, na pograniczu z Zakonem Krzyżackim.

Najstarszą w samym Bieżuniu jest jego nazwa patronimiczna ze zmiękczeniem dzierzawczy -ń, jak w Toruń, Wieluń i dawny pograniczny Zieluń. Rzeka bieży, tzn. płynie. Od niej bierze nazwę Biezuń, pierwszy wśród rybaków rybak. Jako zbieg spod ucisku krzyżackiego uciekł być może z Działdowa Działdówką do Wkry. Dołączają się do niego inni rybacy, jakby się udawali na połów. Blisko trzymają się flisaków, co drzewo spławiają tratwami.

Na jednym z postojów na bujnej zieleni część rybaków pod przewodem tego, którego nazwano Zielun, założyła osadę rybacką i tak przez imaginację wnioskuje, że powstał Zieluń.

Reszta płynie dalej tam, gdzie rzeka staje się coraz szersza i gdzie jest wzniesienie w sam raz pod osadę rybacką, bo ryb i raków zatrząsienie. Dzięki nim przecież Biezuń upamiętnił się w fikuśnym rymotwórczo przysłowiu składającym się z samych rymów pochodnych od ryby i raki. Powtarzam: Gdyby nie ryby i raki, przepadłyby bieżuniaki.⁷

Biezuń jako obronne miasto, powstał w przewidywaniu przyszłego starcia na 4 lata przed Grunwaldem. Miejskie prawa uzyskał dzięki kasztelanowi Jędrzejowi z Gulczewa, którego pomnik nagrobny znajduje się w katedrze płockiej. W kaplicy po stronie przeciwnej od książęco-królewskiej z orłem piastowskim bez korony, książęcy przysługujący królom niekoronowanym.

Uzyskał prawa miejskie, lecz zasadniczo był grodem, podobnie jak zakrzęński Karnyszyn przez lat 60, aż do pokoju toruńskiego, który odsunął zagrożenie ze strony Krzyżaków i zagwarantował bezpieczeństwo granic. Wówczas gród zeszedł na plan dalszy w Bieżuniu, a w Karnyszynie zginął.⁸

Miasto przez swoje położenie kluczowe wraz z kluczem biežuńskich dóbr zyskało na znaczeniu dzięki rodowi Sieprskich mniej więcej do czasów zgonu Zygmunta Augusta jako ostatniego z Jagiellonów.

Czasy rozwojowi sprzyjały, szczególnie w wieku XVI, kiedy to po odkryciu Ameryki przez Kolumba przyływ zamorskiego złota otworzył i ożywił na Zachodzie rynki zbytu na produkty rolne, zwłaszcza zbożowe.

W związku z tym Mazurzy nie w ciemną bicia przy panującym głodzie ziemi uprawnej odrzucili na bok miecz i oburącz chwycili za topór. Ruszyli do dookolnych starodrzewnych lasów i jako drwale dzięki zawziętej pracy z doliny rzeki Wkry wydobyli ziemię rodzajną pod sochę i pług.

Praca nie tylko pod tym względem się opłacała. Dawała materiał od budowę zagrody, dawała szczodry profit z drewna spławnego na szlaku wodnym Wkra - Bugo-Narew - Wisła, aż do ujścia w Gdańsku i przede wszystkim po wykarczowaniu ziemi uprawne pod urodzaj z rogu obfitości.

Przy tym stanie rzeczy bieżuniacy stawali się więcej gospodarzami niż rybakami i mieszczanami żyjącymi z usług rzemiosła. Ten stan rzeczy panował do czasu, kiedy drwale wyszli z doliny Wkry i weszli na tereny piaszczyste gruntów przeważnie piątej i szóstej klasy. Ładne mi wiano. Jak mówi miejscowe porzekadło: do diabła, w sam raz posag dla czarownicy.

Po Sieprskich miasto przechodzi do rodziny Kretkowskich, o których mało co wiemy do r. 1619. W roku tym, czy może przed tym rokiem Biezuń odwiedziła klęska pożarów, podczas której spłonął pierwszy przywilej nadania praw miastu. Bieżuniowi zajrzała zagłada w oczy. Na szczęście miastu przyszedł z pomocą Jan Kretkowski, wojewoda brzesko-kujawski. Za jego wstawiennictwem Bieżuniowi zostały przywrócone prawa miejskie potwierdzone w r. 1630 przez króla Zygmunta III. Nie bez szczodrych dotacji na rzecz miasta: 30 włók ziemi ornej, szereg łąk i ogrodów (to po nim mamy ul. Ogrodową), prawo do wyrębu z pańskich lasów, prawo do połowu ryb w rzece, prawo do wyszynku piwa i innych napojów, prawo uboju.

Biezuń podniósł się z upadku, lecz nie na długo. W ognistym potopie szwedzkim Biezuń spłonął ponownie. Tym razem do szczytu. Po nim pod koniec przyszło morowe powietrze. Biezuń wymarły i jeszcze raz spalony, zdegradowany do rangi wsi wegetował bezpiecznie, bo pałac spadł do rangi dworu i sam szukał skutecznego sposobu, żeby się z ruin podźwignąć.

Andrzej, ostatni z Kretkowskich, co miał drugą żonę Działyńską Jadwigę, Biezuń zapisał Tomaszowi Działyńskiemu, a ten z kolei jedynej córce Annie jako wiano.

Ta Anna weszła w związek małżeński z Michałem Zamoyskim, późniejszym ordynatem, i jej to zawdzięczamy odbudowę pałacu niemal od fundamentu. Niestety, śmierć stanęła na przeszkodzie. Jej małżonek i Elżbieta, druga jego żona, prace kontynuowali połowicznie, zajęci ordynacją zamoyską.

W mrokach czasów saskich pojawia się światło, które się stanie zapowiedzią Wieku Oświecenia. Dwie 17, data urodzin syna Michała i Anny z Działyńskich, po Janie renesansowym, największa chluba rodu, Andrzej.

Urodził się w Bieżuniu⁹ i z nim zapewne związał się przez dzieciństwo. Nauki pobierał nie w kraju, lecz za granicą, wiele podróżował, szczególnie w celach naukowych. Pomnażał wiedzę i z nią własny księgozbiór.

Długo nie mógł znaleźć własnej drogi. W czasach saskich wstąpił do saskiego wojska, żeby się nauczyć, jak zwalczać wrogów Rzeczypospolitej, w której panowały nierząd, anarchia. Długo się wahał. Czy ojczyźnie służyć szabłą, czy wrócić do pluga i od niego zacząć działalność reformatorską?

Był już pułkownikiem, kiedy rzucił służbę wojskową i wrócił do nieukończzonego pałacu, który niebawem stał się prawdziwą rezydencją wielkopańską. W oazach zieleni angielskiego parku i w obramowaniu lustrzanych kanałów.

Po uporaniu się z parkiem i pałacem przeszedł do wsi pańszczyźnianej. Łupione grabieżą przez obce wojska, dziesiątkowane przez zbiegostwo znajdowały się w położeniu pozałowania godnym.

Zamoyski sięgnął do tradycji arikańskich. Budynek bez okien, późniejszy spichrz po ariergardzie, niedarmo ludność miejscowa nazywa arianką. Zbliżenie do wsi, które wyniósł z lektur zagranicznych, poparł praktyką w działaniu. Pierwszy w Polsce zniósł ucisk pańszczyźniany i zamienił go na czynsz.

Oczynszowane zostały wsie Lutocin, Mojnowo, Swojęcín, Seroki, Obręb, Karnyszyn i inne. Skończyło się zbiegostwo i umocniła zasiedziałość. O tym świadczy – podaję za J. Wybickim – znaczny przyrost nowonarodzonych dzieci. W ciągu lat od 1760 do 1770 nastąpił skok o 30%.

Zamoyski oczynszował chłopów jeszcze w czasach saskich. Za nim poszedł najpierw Joachim Chreptowicz i znacznie dalej posunął się w tym kierunku Paweł Ksawery Brzostowski.

Dzięki tej działalności pionierskiej Andrzej Zamoyski wszedł do Wieku Oświecenia jako Kanclerz Wielki Koronny. Nie na długo, bo tylko na dwa lata, po których odrzucił pieczęć kanclerską na znak protestu przeciw bezprawnej ingerencji Rosji w sprawy wewnętrzne kraju.

Wśród służalców Repnina płaszcących się przed nim, nie ma miejsca dla byłego kanclerza. Nic dziwnego, że wraca do Bieżunia, żeby klęskę przezwyciężyć zwycięstwem. Wraca nie z pustymi rękoma.

Po chłopach mieszczenie stanęli w centrum jego zainteresowań. Bieżuniowi przywraca prawa miejskie zagwarantowane przez króla, który w sprawach spornych z właścicielami miał być ostatnią instancją odwoławczą.

Więść o tym przywróceniu praw Bieżuniowi, wszystkich bieżuniaków postawiła na nogi. Wymownie o tym jeszcze po dziesięciu latach pisze w „Listach patriotycznych” późniejszy o dwadzieścia lat twórca naszego hymnu narodowego:

„— ... Mieszczenie dowiedziawszy się, że im pan dobroczynny przesyła go, wyszli wszyscy hurmem z miasta z processyją na przeciwko niemu, przyjmować ten zakład swojego bezpieczeństwa. Niósł ojciec i matka na rękę niemowlę swoje, by tak uroczysty obchód zjawionej im sprawiedliwości w wiecznej trwał u nich pamięci. Dały się słyszeć zewsząd śpiewania, ła słodka wyciskała radość. Cóż nad ten widok być mogło miłszego duszę czu-

łą mającemu człowiekowi? Cóż żywej o wdzięczności naszego ludu przekonać wszystkich może?...”¹⁰

Takie gorące przyjęcie jeszcze bardziej związało darczyńcę z miastem, któremu nowe klucze ofiarował. Tymczasem miasto raczej wyglądało na wieś, bo nie miało nawet własnego planu zagospodarowania.

Zamoyski taki plan w zarysach prawdopodobnie opracował i zrealizował. Stodoły ze strzechami, od których Biezuń często się palił, przeniósł za ogrody Kretkowskiego i gospodarzom przydzielił przy nich po zagonie.

Palił się często również drewniany kościół biezuński. Zamoyski tym pożarom kres położył, ufundował bowiem świątynię murowaną w stylu barokowym pod wezwaniem świętej Trójcy.

Poza tym całą uwagę skoncentrował na Starym Rynku, obszernym, prawie dwu i pół morgowym, w kadłubowym kwadracie z czterema kończynami: do Żuromina z rozwidleniem na Mławę i w kierunku przeciwnym do Płocka. To były kończyny odręczne, a tymczasem kończyny odnożne bieżyły do zamku i ulicą Sierpecką do Sierpca i zarazem do Płocka.

W tej konfiguracji ul. Warszawska tworzyła z głową kościoła ulicą Kościelną złamaną szycę wiodącą do ul. Biezuńskiej w Warszawie. Rynek wszystkie te kierunki wyróżniał kalenicowymi narożnikami na wysokim fundamencie murowanymi i budynkami drewnianymi pod tynk, mur imitujący.

Odnowione miasto zyskało na wyglądzie i w ten sposób dopasowało się do pałacu, tworząc małomiejską oprawę dla rezydencji wielkopańskiej. Nie tylko zyskało na wyglądzie. Biezuń nie tylko wypiękniał, ale także ludnościowo się ożywił dzięki napływowej ludności, sprowadzonym przez Zamoyskiego, szczególnie Niemcom z branży sukienników i tkaczy, i dzięki ruchliwym, głównie Żydom, krawcom, szklarzom, piekarzom, rzeźnikom, karczmarzom, sklepikarzom, kramarzom, jak też miejscowym garbarzom, rymarzom, szewcom, stolarzom, stelmachom, kołodziejom, cieślom, murażom, blacharzom, dekarzom, zdunom.

Przodowali wśród nich sukiennicy, tkacze płócien i farbiarze do tego stopnia, że ich pan nad pany, karmazyn, chodził w samodziałach biezuńskich. Wymowny przykład uznania dla tego włókienniczego rzemiosła i dowód demokratyzmu wobec mieszczan, jak później u Kościuszki sukmana krakowska.

Ekskanclerz jednak nie zamyka się w Biezuńiu. W r. 1773 po pierwszym rozbiórce Polski, kiedy nastąpiła kasacja zakonu jezuitów i powstało pierwsze Ministerstwo Oświaty, jako Komisja Edukacji Narodowej, Zamoyski

został powołany na stanowisko komisarza, któremu powierzono opiekę nad szkołami, w pierwszej kolejności mazowieckimi.

Zamoyski nie byłby Zamoyskim, gdyby tej nowej pionierskiej działalności jako fundator nie poparł szkołą w swoim mazowieckim kluczu. Pierwszą zapowiedzią wiosny w poklasztornej oświacie szkoły świeckiej.

Miasto otrzymało jednoklasówkę z pomieszczeniem dla zboru ewangelickiego od tyłu. To w jednej połowie, a w drugiej mieszkanie dla nauczyciela. Budynek z cegły dworskiej zbudowany, jeden z najstarszych w Bieżuniu, ostatnio z powodu jednej rysy w szczycie, w sposób bezkarny i to z wielkim trudem został rozebrany. Wprost w głowie się nie mieści z przyzwoleniem czy może z przymrużeniem oka ze strony wojewódzkiego konserwatora.¹¹

Za mojej pamięci z tyłu za tym budynkiem murowanym parterowym zbudowano piętrową, drewnianą szkołę. Dziś już się znajduje na budowlanej proskrypcyjnej liście. Pomieszczenie szkolne zatłoczone do ostatnich granic możliwości, jako zbiorcze przedpiekle kształcenia podstawowego.

Pierwszą za dawną szkołą, oddzieloną wygonem Tryfty, była moich rodziców poburmistrzówka, posesja z domem, który jakby wyszedł z ogrodowego sadu frontem do ulicy Zamkowej, a od tyłu jesionami do ulicy Sierpeckiej. Dom dworski, dębowy bodajże jedyny tego rodzaju najdłuższy dom w Bieżuniu.

Za dawnym naszym spichrzem ze stodołą znajdowała się placowa przestrzeń ogrodu, który wiązał się prawdopodobnie z zajazdowym budynkiem zachodniej strony Starego Rynku. Za tą przerwą budowlaną szedł budynek z mieszkaniem dla lekarza. jako drewniany pewnie nie nadawał się do kapitalnego remontu i zamiast niego pocztmistrz Siemian Onaczewski kapitalnie od gruntownych fundamentów wybudował wyróżniającą się kamienicę z poddaszem i z przybudówką. Do tego nowego domu przylegał stary, niski, przypuszczam, podobny do dawnego doktorskiego, dom w połowie dla felczera i dla apteki.

Wreszcie pierzeję zamkową z rynkową zamykał i otwierał dom narożny na wysokim fundamencie z piwnicami o sklepieniu kolebkowym, podobnym do pałacowego. Najpiękniejszy dom Bieżunia, w którym się apteka mieściła, a następnie szpital, głównie dla zakaźnie chorych.

Dom zabytkowy drewniany otynkowany z gankiem wysokim od frontu z pięknie uwieńczonym dachem z naczółkami i z sześciu lukarnami. W stanie opłakanym dzięki naszemu Wojewodzie obiekt ten stał się własnością naszego Muzeum i już w surowym stanie został restytuowany.

Takie były zasługi Zamoyskiego dla Bieżunia, po których ponownie zaczęły się dawnego kanclerza dla kraju zasługi, kiedy Sejm z r. 1776 powierzył mu skodyfikowanie projektu Kodeksu Praw.

Bieżuń dzięki bogatemu księgozbiorowi stał się pierwszą Kuźnicą przed bardziej lewicową Kuźnicą Kołłątajowską Sejmu Czteroletniego. W składzie: J. Chreptowicz, J. Wybicki, K. Szembek, F. Łojko, A. Rogalski, J. Węgrzecki.

Projekt, w gruncie rzeczy umiarkowany, został uznany za nazbyt radykalny. Głównie z trzech przyczyn: za bardzo krytykował zacofany sarmatyzm szlachty i wszechwładzę magnaterii; za postępowe jeszcze nieśmiałe pierwsze próby reformatorskie w odniesieniu do chłopów; i za ograniczenie jurysdykcji na rzecz prymatu państwa nad kościołem.

Odrzucenie „Projektu Kodeksu Praw” i gwałtowna polemika publicystyczna sprawiły, że Zamoyski odsunął się od działalności publicznej. Przegrał, ale bez tej klęski nie byłoby pierwszej próby sił, które ostatecznie doprowadziły do uchwalenia dalej idących reform Konstytucji 3 Maja.

Z Bieżuniem związał swoje prace kodyfikacyjne i po odrzuceniu ich przez sejm jakby się do Bieżunia zniechęcił. Coraz rzadziej go odwiedzał, aż wreszcie się przeniósł do Ordynacji Zamoyskiej, gdzie spędził ostatnie 8 lat pod zaborem austriackim, bliżej związane z rządem wiedeńskim.

Mimo to związków z Warszawą nie zerwał. Żył sejmem czteroletnim i kres jego życia opromienił blask zachodu słońca z Konstytucji 3 Maja. Do targowicy nie dożył. Śmierć przyszła, łaski pełna.

Umarł 20 lutego, a konfederacja zdradziecka została zawarta 14 maja 1792 roku. W dwa lata po mężu odeszła z tego świata żona Konstancja z Czartoryskich w pamiętnym roku powstania kościuszkowskiego.¹²

Zamoyski w Bieżuniu nie zginął. Pozostał w nim raz na zawsze. Dzięki niemu u kresu Rzeczypospolitej Bieżuń stanął u szczytu swoich możliwości. W roku 1777 liczył mieszkańców 894, a w tym samym roku Ciechanów, dziś miasto wojewódzkie, liczył 792, pono zarazą morowego powietrza nawiedzony.

Syn Andrzeja Stanisław, jako sukcesor interesował się kluczem dóbr bieżuńskich głównie przez plenipotentów, do czasu aż sprzedał w r. 1801 ks. Józefowi Poniatowskiemu. Nie na długo, bo zaledwie na dwa lata, w których ani razu go nie odwiedził. Zaborczość pruska temu nie sprzyjała.

Z takim bilansem u schyłku roku 1806 na północne Mazowsze wkroczyły wojska pruskie, rosyjskie i francuskie. Te ostatnie w ciężkich warunkach terenowych i klimatycznych stoczyły zwycięską bitwę pod Bieżuniem. Na dzień przed przybyciem marszałka Bernadotte. Przyszłego założyciela

dynastii królewskiej, do dziś panującej w Szwecji. W przededniu wigilii.

Prawdopodobnie w tej bitwie zginął jeden z wyższych oficerów francuskich. Jego murowany grób w parku w bok od pałacu do dziś istnieje. Niestety, z ociosanego piaskowca piramidka, jako pomnik, nie wiadomo przez kogo podczas pierwszej wojny światowej została rozwalona. Ciosowe kamienie poćwiartowane poszły do szlifowania narzędzi i na osełki pod kosę.

Czasy Księstwa Warszawskiego zniosły poddaństwo, ale cóż z tego, kiedy prawem kaduka tolerowały samowolę dziedziców w usuwaniu chłopów z ziem lepszych przez tzw. rugi.

Po Księstwie Warszawskim, mimo ograniczonej wolności, w Królestwie Kongresowym życie częściowo ustabilizowane zaczęło sprzyjać rozwojowi gospodarstwu. Rzemiosło wyszło ze stagnacji, ożywił się handel w mieście, rugi na wsi dzięki ingerencji odgórnej też sfołgowały, wzrosła produkcja zbóżowa i hodowlana. Dobrobyt się podniósł i wzrosła ilość mieszkańców: Żuromin liczył 1336, Raciąż 1476, a Biezuń 1998 mieszkańców – tyle co obecnie.

Królestwo Kongresowe jednak przestało istnieć. Kwiat młodości zginął w powstaniu. Zesłańcy dążyli na Sybir, niedobitki emigracji, poza Francją, rozproszyły się. Do tego Biezuń nawiedziła cholera. Dochody spadły do tego stopnia, że spalony most na Wkrze odbudowywano przez lat dziesięć.

Zmalała również rola właściciela dóbr biezuńskich, gdyż z powodu hipotecznego zależały one od Banku Berlińskiego w Prusach za kordonem.

Dopiero w r. 1837 wreszcie znalazł się nabywca, co tę hipotekę spłacił. Postanowił zamieszkać w pałacu, a tymczasem pałac wymagał koniecznego remontu. Dziedzic Adam Wołowski sędzia mławski, poszedł o wiele dalej i całość postanowił przebudować. W rezultacie pałac pozamoyski tak odrestytuował, że w naszej nomenklaturze spadł z klasy drugiej do trzeciej.

Dorobkiewicz Wołowski pierwsze fundusze na renowację wyduślił z chłopów, a kiedy one okazały się za małe, połowę dawnego klucza wraz z pałacem odsprzedał swemu zięciowi hr. Bronisławowi Lasockiemu, a sam po swojemu zaczął gospodarzyć w drugiej połowie klucza – żuromińskiej.

Komasacja pod kątem interesów dworu i nowe rugi zmniejszyły stan chłopskiego posiadania pańszczyźnianego więcej niż o 30%, za to powiększył się stan własności folwarcznej. Nie bez kapitalnej przyczyny. Cena ziemi w porównaniu z r. 1799 w ciągu 60 lat wraz z ziemiopłodami wzrosła 5-krotnie.

Te innowacje pańszczyźniane dziedzica w drugiej połowie klucza pod zarządem Wołowskiego odbyły się jednak nie bez reperkusji. Dziedzic bowiem na odebrane ziemie chłopom pańszczyźnianym wprowadził kolonistów.

W związku z tym pomiędzy zasiedzianymi pańszczyźniakami i nowymi kolonistami doszło do buntu pod przewodnictwem kowala Oleksiaka, gospodarza ze Swojęcina. Starcie doprowadziło do interwencji kozaków. Wołowski skapitulował.

Zięć okazał się bardziej liberalny, przeklasyfikowanie i komasację przeprowadził w sposób bezkonfliktowy, w sposób ludzki, bez nadużyć. Nie jako zatwardziały konserwatysta, lecz jako demokrat, nawiązujący do tradycji Andrzeja Zamoyskiego, umiejący interes własny pogodzić ze społecznym.

A działo się to w tym samym roku, w którym Biezuń ze wszystkich mniejszych miast w województwie płockim liczył najwięcej mieszkańców i nawet górował nad Sierpcem, nie mówiąc o Raciążu i Szreńsku.

Zawdzięczał to Bronisławowi Lasockiemu, który jako ziemianin sam się bogacąc, podnosił jednocześnie dobrobyt tych, co od niego zależeli. Toteż w Towarzystwie Rolniczym w Płocku wielce ceniono go i stawiano za wzór obywatela ziemskiego godnego mieszkać w pałacu pozamoyskim.

Niestety, to w naszym dramacie narodowym była tylko perypetia. Zapowiedź ekonomiczna czegoś lepszego po to, żeby tym bardziej uwypuklić katastrofę, jaka wynikła z powstania styczniowego, kiedy Polska zeszała do nieznanej powstańczej mogiły i odzywała się jedynie w echem leśnych potwarzających: — nie darmo właściciel Biezunia walczył w powstaniu, więziony, zanim do Belgii wyemigrował; — nie darmo w Biezuniu był jeden dzień wolności; — nie darmo od lochów zamkowych wyszedł pogrzeb powstańców na naszym cmentarzu spoczywających, których pożegnała burza trumien płaczących; — nie darmo zdradzeni przez obcoplemiennego szpicla, co podstępnie nocą sprowadził kozaków do opuszczonej owczarni, powstańcy spłonęli żywcem jak na stosie, bez śladu mogiły, z której nie może się nawet echo odezwać.

To był posiew krwi, który miał zaowocować w wieku następnym posiewem roku 1905 rewolucyjnego, 1918 niepodległego, 1945 niepodległościowo-rewolucyjnego – tej, co nie zginęła.

Tymczasem po upadku powstania styczniowego zaczął się niesłychany ucisk. Na straży reżimu carskiego stało wojsko z żandarmerią i policją. Przy czym wojsko w nim rozkwaterowało się na dobre jako regiment kawalerii rosyjskiej, wrogo przywitany, a pożegnany z mieszanymi uczuciami.

Przy wojsku Biezuniowi lepiej się żyło, toteż w swej prostracji raczej wojsko żegnał nie bez żalu. Cóż robić, sami biezuniacy pokazali, że u nich wojsko nie ma czego pilnować. Niczewo, niczewo, wsio w pariadkie.

Pałac, miasto, wsie klucza dóbr bieżuńskich razem tworzyły swoistą jedność nierozzerwalną, mimo że pałac przewodził. Po upadku powstania styczniowego sytuacja zupełnie się zmieniła. Pałac przez powstanie i zniesienie pańszczyzny stracił najwięcej, bo bezpłatną siłę roboczą na wsiach, a w mieście uprawnienia własnościowe. Miasto przestało być miastem, gdyż w roku 1869 bezprawnie odebrano mu prawa miejskie i stało się osadą podległą urzędowi rosyjskim. Tylko wsie przez skasowanie pańszczyzny z łaski cara uzyskały prawo do ziemi, na której chłop odrabiał pańszczyznę i wyzwolił się od dworu. Władze carskie również przyczyniły się do tego, żeby wieś przez serwituty skłócić z dworem. W tej sytuacji o jedności nie mogło być mowy. Dwór przedstawiał się na nowy system gospodarczy i przechodził z rąk do rąk jak rękawiczki. Sprzedawał lasy, których dzisiaj brak odczuwamy, i parcelował ziemię.

Bieżuń, jako miasto zdegradowane do osady, został jednocześnie z powiatu mławskiego przeniesiony do Sierpca, powiatu nowo powstałego i głównie zajętego samym sobą, bez oglądania się na cały powiat. Toteż z osadą i powiatem nie tak łatwo było znaleźć wspólny język w urzędach, w których język rosyjski wyrugował polski nie tylko w urzędach, lecz i w szkole.

Z tych też względów Bieżuń jako osada niczym nowym się nie zapisał, chociaż i tak górował nad okolicznymi wsiami pod każdym względem. Zwłaszcza usługami rzemieślniczymi i handlowymi z wyprzedzą tandety.

Zginęli sukiennicy i tkacze już po powstaniu listopadowym, kiedy zaczęło brakować zdolnych czeladników. Niedobitki ruszyły do Łodzi, gdzie nasi tkacze płótna i sukna stali się pionierami łódzkiego przemysłu włókienniczego. Zginęli jak raki, cofnęli się w przeszłość bezpowrotnie.

Zmniejszyła się również ilość innych rzemieślników, za to nadmiernie wzrosła ilość szewców, zwanych siewcami warsiaskimi. Jeździli po targach i jarmarkach. Mówiono o nich, że tysiąc siewców na jednej kobyle jedzie.

W związku z tym przechodzę od statystyki jednej do drugiej. Za Andrzeja Zamoyskiego rosła ona z rozwojem i ze wzrostem miasta, dzięki czemu ścigała ludność napływową, szczególnie dobrych rzemieślników.

W porównaniu do tej co innego mówi statystyka zamykająca XIX wiek, z roku 1901, o dwóch tysiącach siedmiuset mieszkańcach Bieżunia, a więc o siedemset więcej niż obecny znacznie zdrowszy Bieżuń.

To w porównaniu do dobrobytu przyrost ubóstwa naturalnego „bachorów” żydowskich i „siurków” w koreczkach bieżuńskich wraz z biedotą wiejsko-miejską, która z ziemi nie mogła się wyżywić. Z płodnością żywotną

plodność cmentarna, która górowała nad pierwszą całą lewą stroną cmentarza mogiłek.

Trzy instancje: parafialna, rządowa i dworska, podobnie jak kahał żydowski, żyły z sobą na wzór z bajki Kryłowa lebień, szczuka i rak. A gdzie inteligencja? Początki jej sięgają do Królestwa Kongresowego, które po upadku powstania listopadowego i po likwidacji Królestwa ograniczyła własne możliwości. Sprawa jeszcze się bardziej skomplikowała po upadku powstania styczniowego, kiedy wzmógł się ucisk carski.

Zdawało się, że dla inteligencji nie ma żadnych szans rozwoju. A tymczasem rozwój przemysłu okazał się potężniejszy od ucisku narodowego. Rozwój przemysłu wpłynął na rozwój pionierskiej klasy robotniczej i za sprawą pozytywizmu, przez jego publicystykę, inteligencja też doszła do głosu.

To w miastach, zwłaszcza w Warszawie, ale na zapadłej prowincji, z dala od kolei, to raczej marzenie ściętej głowy. A jednak taki inteligent zjawił się u nas w samym jądrze ciemności, u schyłku wieku XIX.

Był to aptekarz Michał Synoradzki. Apteka go nie interesowała. Prowadzenie jej powierzył prowizorowi, sam zaś związał się z działalnością społeczną w powiązaniu z pracą literacką. Ta druga zwyciężyła, kiedy po śmierci córki Biezuń opuścił i sprzedał aptekę.

O Bieżuniu nie zapomniał. W „Korespondencie Płockim” odwdzieczył się przyczynkiem monograficznym. W Płocku też długo nie zagrzeł. Wyjechał do Warszawy, gdzie objął stanowisko naczelnego redaktora „Biesiady Literackiej” i stał się płodnym pisarzem trzeciorzędnym. O poziomie prowincjonalnym.

Tymczasem kończy się wiek XIX i zaczyna XX. Na ich przelomie pod znakiem „Wesela” i „Ludzi bezdomnych” ja się urodziłem w Bieżuniu, w którym mimo antagonizmów obcoplemiennych, rozbiornych, wyznaniowych przy stopie życiowej ekonomicznej w dół, a nie w górę, współzycie układało się bez jaskrawych konfliktów.

Rok 1905 nie poruszył środowiska, chociaż obudził nadzieje na szkołę polską. Należał do wieku XX rewolucyjnego, a tkwił jeszcze w XIX. Dreptał w ogonie prowincji i po swojemu żył dorobkiem zapóźnień.

Pozytywizm był już w kraju zasadniczo przewyciężony, chociaż jeszcze wielu pozytywiści żyli, przedłużając swój zachód, zwłaszcza na prowincji. Stary subiekt umarł z Węgiełkowym karteluszkim, który zapowiadał: Non omnis moriar, dotyczące subiekta i pryncypała w jednej osobie.

Z tego NIE CAŁY UMREĆ od Węgiełka wyszedł u nas Ludwik Węglewski. Bieżuniak z urodzenia, subiekt warszawski, pupił pryncypała i raczej pryncy-

pałowej, wygrał na loterii dwa losy szczęścia i z kapitałem 100 000 rubli wrócił do Bieżunia z aspiracjami niemal wielkomięjskimi.

Wybudował dom narożny tak wielki, że dotychczas większego nikt zmurować się nie odważył. Otworzył sklep kolonialny godny większego miasta, a nie zdegradowanego miasteczka, i otworzył restaurację dla ziemiańskiej śmietanki i ludzi gotówkowych. Dał Bieżuniowi piekarnię o takim asortymencie pieczywa, zwłaszcza kajerek, że podobnego potem już nigdy nie miał. Towary firmowymi wozami rozwozili subiekci po dworach i wsiach na zamówienie. Wreszcie dał Bieżuniowi pierwsze światło elektryczne.

Pan Węglewski dwoił się i troił. Hodował konie cugowe. Ze swojej willi z secesyjnymi gankami do kościoła jeździł powozem, zimą sankami z siatką. Panem chciał być całą gębą. Stangret w liberii dodawał szyku. Wysoko podniesionym kapeluszem odpowiadał na ukłony.

Pieniędzmi szastał na prawo i lewo. Gdzie mógł, bez względu na procent, pożyczął. Groziło mu bankructwo. Uratowała go dewaluacja. Wyzwolił się od dłużników, lecz z upadku już się nie podźwignął.

Bez konkurencji zwyciężył i zgubiła go konkurencja z Żydami. Nie miał zaplecza i oparcia za sobą. Nie mniej, szczególnie rzemieślnicy, byli mu wdzięczni za zielone światło w nieprzejezdnej lub źle ujeżdżonej rzeczywistości. Dotąd podobnego rozmachu żaden Bieżuniak jeszcze nie okazał.

Nie miał większego wykształcenia, a mimo to swymi inicjatywami ożywił miejscowe środowisko. Wzrosły ambicje aż do megalomanii. Przede wszystkim konsumpcyjne zastawionego stołu przyjęć towarzyskich. Nie tylko.

Pełna rozmachu rzutkość Węglewskiego i większe swobody po roku 1905 korzystnie wpłynęły również na miejscową półinteligencję. I rzecz ciekawa, godna zastanowienia. Nie było wśród niej, poza lekarzem, ludzi z cenzusem nie większym niż 4 klasy gimnazjum rządowego, a jej aspiracje wyżej sięgały, niż obecnie przy wykształceniu średnim, a nawet wyższym. Nad biernością górowała aktywność, którą się czuło w powietrzu.

Intryga. Z małomiejską inteligencją przy udziale bardziej przedsiębiorczych bieżuniaków zorganizował Ochotniczą Straż Pożarną, strażaków umundurował, kaskami blasku im dodał, z funduszów samorządnych i imprezowych zakupił instrumenty, stworzył orkiestrę, po której bezpotomna pamięć obumiera pod strażackim sztandarem, wybudował remizę ze sceną, zaskoczył poziomem teatru amatorskiego, zabawy urozmaicił fantową loterią, dwiema orkiestrami grającymi na przemian, lampionami kolorowo oświetlił dziedzińiec parkowy, wprowadził wyższy styl do życia towarzyskiego... Pytanie: Kto?

Nie Węglewski szukający poklasku i rozgłosu, lecz dr Antoni Wolski, który nikomu nie zamierzał imponować, orędownik kultury z powołania, z aspiracjami artystycznymi. Muzyk fortepianowy ujął batutę w swoje ręce i sam przy pulpicie stanął wyżej niż przy instrumentach dętych Węglewski.

I rzecz charakterystyczna. Rozwinął swoje umiejętności w czasach ucisku narodowego, a w czasach międzywojennych nie podniósł na wyższy poziom lecz z biegiem lat przygasł, jakby i jego wchłonał miejscowy mniej ambitny Obrzydłówek. Po drugiej światowej wojnie już tylko dogorywał.

Zresztą czasy międzywojenne, poza szkołą 7-klasową w tandetnym drewniaku, nie dały nawet tyle, co zabrały. Biezuń przestał być osadą i stał się gminną wsią. Stracił sąd pokoju, szpital przestał istnieć. Wkra zaczęła krakać, bo zielona katarakta ją uwięziła. Mgłą przesłoniła bagna doliny.

W tych czasach nie tkwiłem w Bieżuniu. Kończyłem nauki w Płocku, studiowałem w Warszawie i przez 14 lat związałem się z Przasnyszem jako polonista. Do domu jedynie od czasu do czasu przyjeżdżałem na święta, nosa nie wysuwając spoza domu, latem podczas ferii nie wychodziłem poza ogród.

Przeskakuję przez ognisty Styks, z którego ratowała mnie podziemna łódź tajnego nauczania, od którego zaczęło się moje powołanie nauczycielskie nie tylko w znaczeniu szkolnym, lecz i społecznym.

Przez Styks wróciła również radość, lecz nie ta z odzyskanego śmietnika, niepodległa. Wróciła radość przez gruzy i ruiny, żeby naszą nową rzeczywistość na nowo odbudować, poczynając od stolicy, wciąż tej samej, a jednakże niepodobnej, jak dawne Stare Miasto do obecnego Starego Miasta.

Biezuń był ubogi i nie było w nim co burzyć, toteż ocalał. Co najłichsze żydowskie drewniaki hitlerowcy wyniszczyli, lepsze, po permanentnym poszukiwaniu złota, przystosowali do własnego użytku.

Biezuń wyzwolony, jeszcze na dobre się nie rozejrzał, już zaczął swoje nowe życie od tego, czego nigdy dotąd nie było: od szkoły średniej we wsi gminnej z wizją szczęśliwej gminy orkanowej. Jak wiemy od Pierwszej Osoby, zlokalizowanej w byłej karczmie nur für Deutsche.

Dzieje jej znamy od Gimnazjum Samorządowego do Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Orkana, więc nie warto do nich wracać, a jeśli to czynimy, to z racji, że z nią związała się sprawa dla Bieżunia kompleksowa.

Szkoła średnia w dolinie moczarów i bagien bez uregulowania Wkry w jej biegu rzeczonym była niedorzeczna przede wszystkim ze względów zdrowotnych. Lokalizować szkołę wyższego stopnia w mgły oparach też pomysł.

Ziemia, którą od Wyspy Juranda, dawniej Kępy Gołuskiej, nazwałem jurandową, odzyskała najpierw przez światło wiedzy oczy czytelne i język własny, a następnie po usunięciu zielonej katarakty oko słońca, księżyc i gwiazdy.

Ziemia po regulacji w łąkach została zagospodarowana i należycie zmeliorowana oraz w łąkach i polach, które na kilometry ciągnęły się w zagonach, skomasowana. Jurand odzyskał oczy i zaczął mówić. I to nie był cud. Pozostała jeszcze prawica, dłoń Jurandowa. Stary Rynek i pięć wskazujących palcy dróg, na przekór czterem zwróconym w pięć stron świata. Już Druga Osoba mówiła o nich przy czynach społecznych o znacznie szerszym zasięgu, bo powiatowym. Po nich na całego ruszyły autobusy, ożywił się ruch kołowy z różnym napędem. Nad kopytnymi zapanowały konie mechaniczne.

Czas jak rzeka zaczął szybciej płynąć. Drogi komunikacyjne stały się jednocześnie drogami do ludzi i ożywiły Biezuń w śmielszych poczynaniach o charakterze społeczno-kulturalnym.

W dawnej bożnicy, w której znajdował się spichrz zbożowy GS-u, skasowano okna, prócz frontowych, przebudowanych razem z fasadą. Tylną ścianę rozebrano i powiększono obiekt o 7 metrów, głównie przeznaczonych na scenę. W ten sposób powstało ok 1957 r. KINO KALINA, zdawało się, że z prawdziwego zdarzenia.

Najbliższa przyszłość jednak temu zaprzeczyła. Roboty wykonane na łapu capu, żeby tylko wykorzystać kredyty końcowe, rok budżetowy zamykające. Nie przeprowadzono dobrej izolacji i z murów wylała wilgoć. Do tego deski podłóg i boazerii nie zostały należycie wysuszone i przez grzyb budynek zgrzybiał nie ze starości, lecz w pogoni za sukcesem, pożałowania godnym.

Kino po otwarciu przez władze wojewódzkie wyszło nam bokiem, lecz miało i tę dobrą stronę, że przy pomocy władz wojewódzkich rozpoczęliśmy budowę w czynie społecznym, na miejscu dawnej strażackiej arki DOMU KULTURY na piętrze i DOMU STRAŻAKA na parterze.

Budynek dzięki naszym funduszom społecznym i dotacjom został wybudowany i przykryty dachem. Na wykończenie jednak zabrakło pieniędzy. W tym stanie czekał przez dwa lata, a może nawet i więcej.

Dopiero trzeba było trafu, że w pisuarze spotkałem się Dyrektorem Wojewódzkiego Wydziału Budownictwa, z późniejszym Ministrem, niestety już nie żyjącym, Marcinowskim i zwróciłem się do niego, zdaje się, z tymi słowami:

— Panie Dyrektorze, Pan jest Wielki, a ja pod każdym względem znacznie mniejszy. W urzędzie nie da rady, a tu naraz nabrałem nieoczekiwanie

odwagi. Chwila osobliwa. Już Biezuń czeka dwa lata, żebyśmy tak samo mogli się spotkać za rok w tych samych okolicznościach w biezuńskim DOMU KULTURY.

Roześmiał się i powiedział: — Spróbuję. — Nie zawiódł. Po roku 1966 stanął DOM KULTURY w całej okazałości, chociaż pomiędzy nami do podobnego spotkania nie doszło. Dom stanął i stoi. Podobnie w miejscu, jak nasza kultura. Mieści się obecnie w nim Przedszkole. Kultura krzepnie. Na razie do 1986 r.

Przygasły aspiracje społeczno-kulturalne, za to inicjatywa prywatna na dobre się odezwała, nieoczekiwana. Ni z tego, ni z owego bieżuniacy rzucili się hurmem do hodowli drobiu. Nikt ich do tego nie zachęcał. Wystarczy przykład miejscowego lekarza, a w ślad za nim poszli różnego rodzaju urzędnicy z niedawnymi szewcami na czele. Nie bez mojej dezaprobaty, bo w moim ogródku nie róże, ale pachnie gównem kurze.

Fermy drobiarskie z gwarancją paszy zagranicznej zaczęły w Bieżuniu powstawać jak grzyby po deszczu. Oprócz jaj niosek milion kurzego mięsa z brojlerów rocznie w dostawach. Biezuń w hodowli kur wysunął się na czoło i zajmował jedno z pierwszych miejsc w skali wojewódzkiej i w krajowej.

Dzięki temu zakurzeniu obok starego zaczął powstawać nowy Biezuń. Zdawało się, że przywaciarze, niewiele brak, a zatriumfują.

Tymczasem po rewolucyjnym robotniczym sierpniu przyszedł 13 grudnia. Dla kraju ostateczny ratunek, a dla ferm kurzych czas feralny. Hodowcy bezradnie ręce opuścili, a niehodowcy ręce zacierają. Nie ma co biadolić. Bez własnej paszy miły początek, a koniec żaloszny.

Nim do tego doszło, zachęcony sukcesami prywatnej inicjatywy o charakterze konsumpcyjnym wystąpił z inicjatywą o charakterze kulturalnym Marian Przedpełski, zbieracz świątków, rzeźb ludowych, zwłaszcza od rzeźbiarzy z Zawidza i z Sierpca, eksponatów rzemiosła ludowego, zgłosił się u Przewodniczącego powiatu Żuromin Wilhelma Piworowicza z propozycją otwarcia Muzeum Regionalnego w Bieżuniu, z którym czuje się bezpośrednio związany.

Marian Przedpełski umiał tak sprawę przedstawić, że Przewodniczący wykupił od Tadeusza Twarogowskiego, prawem kaduka, dawny dom wybudowany dla doktora, za sumę 300 000 zł z odpowiednimi dotacjami na ogrzewanie centralne i na remonty adaptacyjne.

Prace już były poważnie zaawansowane, kiedy okazało się, że w połowie zakupionego domu ma zamieszkać M. Przedpełski, a w drugiej ma się zna-

leżć prywatne Muzeum, którego Kustoszem ma być M. Przedpełski, a po nim córka. Na takie Muzeum ani Biezuń, ani Wydział Kultury, który, po wycofaniu się powiatu, ponosił odpowiedzialność finansową, nie mógł się zgodzić.¹³

Muzeum w Bieżuniu znalazło się pod znakiem zapytania. Na szczęście przyszedł nam z pomocą drugi Marian, który wybawił nas z opresji, w jaką popadliśmy z pierwszym. Marian Sołtysiak, ówczesny Dyrektor Muzeum w Płocku, wypożyczył nam część eksponatów folklorystycznych dotyczących naszego terenu i dzięki temu otworzył filię Muzeum Regionalnego związaną z Płockiem. Nie bez mojej ingerencji jako Radnego Wojewódzkiej Komisji Kultury.

Było to rozwiązanie sprawy doraźne, na dłuższy dystans bez perspektyw. Postanowiłem więc filię wesprzeć własną dotacją na rzecz Muzeum Małomiejskiego w Bieżuniu: domem dębowym po ostatnim burmistrzu naszego miasta z księgozbiorem 6 000 woluminów i spichrzem ze stodołą, posesją 65 arów z zapleczem ogrodu i sadem. Z zastrzeżeniem praw dożywotnich w połowie domu i ogrodu. Dzięki temu Muzeum oprócz kierownika i sprzątaczkii uzyskało nadto etaty na stolarza i stróża. Pojawiła się więc perspektywa.

W tym stanie rzeczy przeszedł 1 czerwiec 1975 r. i nastąpił po skasowaniu powiatów nowy podział koncepcyjno-administracyjny. Zmalało województwo mazowieckie do zaplecza Warszawy, a reszta rozpadła się na województwa: płockie, ciechanowskie, ostrołęckie, siedleckie i skierniewickie.

Biezuń z Żurominem, chociaż od wieków należał do Płocka, a potem przez Sierpc do Płocka i do dziś komunikacyjnie w tym kierunku zmierza, znalazł się w ogniu województwa ciechanowskiego.

Jako gmina samodzielna Biezuń niemało zyskał w uprawnieniach i w inwestycjach takich, jak KINO KALINA szerokoekranowe po kapitalnym remoncie unowocześnione na wysoki poziom. Takiego drugiego kina gminnego nie ma w całym naszym województwie. Otrzymał Ośrodek Zdrowia i na nowo odremontowany po Węglewskim dwupiętrowy dom gminny.

W związku z tymi inwestycjami wojewódzkimi ożywiłem Biezuń przez czyny społeczne na rzecz jego uporządkowania. Powstał Komitet Czynów Społecznych pod przewodnictwem Tadeusza Twarogowskiego, dzięki któremu kurnikarz każdy prawie złożył po 10 000 zł na ten cel. Ci honorowi ofiarodawcy sami zebrali 157 000 zł i w ten sposób inni poszli ich śladem.

Wraz z poszczególnymi przedstawicielami Komitetu złożyłem wszystkim prawie bieżuniakom wizytę i żadnego ofiarnego domu nie opuściłem.

Poznałem wszystkie progi wysokie i niskie, od ludzi zamożnych do najbiedniejszych, witany wszędzie życzliwością.

Z tych wizyt do najniższych progów wyniosłem przeświadczenie, że jeszcze więcej muszę pracować dla Bieżunia, żeby wszyscy mogli żyć w znośnym dobrobycie, bo ludzie biedni na ten dobrobyt bardziej niż niejedni bogaci zasługują, jako bardziej szczerzy i prawdziwi.

Nie tylko ze zbiorów, lecz i z różnych dotacji zobowiązań wpłynęło ponad 700 000 zł, a zrealizowano z nich blisko 530 000 zł w gotówce i w różnych rodzajach robocizny dniówkowej odręcznej, konnej i mechanicznej.

Z tych sum skasowano małą gaj w miejskim parku, przez 400 m³ nawiezenie splantowano park, obsadzono nowymi drzewami i różami, uliczki pokryto betonem i odgródzono od trawników, wprowadzono nowe ławki solidne.

Cały rynek wokół i w stronę mostu ujednolicono i przykryto płytami cementowymi. Naprawiono trotuary i w innych ulicach. I wreszcie z sumy pozostałej przykryto asfaltem ulicę Płocką, Ogrodową i Zacisze.

Prac by za te pieniądze więcej wykonano, gdyby Bank, a następnie Gmina nie zamroziły przez limity naszą inicjatywę prywatną. Gdybyśmy pieniądze złożyli na PKO, tobyśmy to wszystko zrobili o połowę taniej, a drugą połowę moglibyśmy cały prawie Biezuń uporządkować.

Sprawdziło się na nas polskie przysłowie: Mądry biezuńskiak po szkodzie. Niezupełnie, bo dzięki temu łatwiej sięgnęliśmy po nowe inwestycje, które już zostały wprowadzone do planów na najbliższą przyszłość.

Dnia 25 listopada 1982 r., w dzień moich urodzin, został położony kamień węgielny pod Zbiorną Szkołę Podstawową z Przedszkolem i Domem dla Nauczyciela. Inwestycję największą szkolną w naszym województwie na sumę przeszło 230 000 000 zł z terminem ostatecznym oddania szkoły do użytku w roku 1986, przy czym przedszkole ma być oddane o rok wcześniej.

Jeszcze w tym roku do 30 czerwca wejdzie do nowego budynku poczta, a od nowego roku szkolnego w budynku po poczcie zostanie otwarta Księgarnia. W tym roku zapewne ruszy również Stolarnia Konserwatorska wraz ze stolarnią przemysłową dzięki usilnym staraniom i zabiegom Kierownika Muzeum miejscowego Romana Kochanowicza, który jednocześnie w najpiękniejszym narożniku biezuńskim prowadzi prace konserwacyjne pod Dom Artysty.¹⁴

Ten Dom Artysty plastyka jako jedno skrzydło będzie jakby odpowiednikiem do drugiego skrzydła dębowego domu, w którym będzie się mieścić

Poetycki Dom Polonisty, poświęcony polonistom z aspiracjami literackimi z uwzględnieniem krytyki literackiej i zagadnień humanistyki szkolnej. Za tym Domem pod wysokim sadem przed ligustrową ścianą wśród róż w najbliższej przyszłości staną z Funduszu Kultury Narodowej trzy popiersia polskich KaMeN: J. Kochanowskiego, A. Mickiewicza i C.K. Norwida.

To od nich trzy razy poezja nasza zaczynała się i wyłamywała: 1) pierwotna klasyczo-staropolska, 2) z klasycyzmu wyłamująca się, do źródeł poezji ludowej sięgająca narodowo-romantyczna i 3) nowatorska przewyżniająca swój wiek na rzecz wieku XX z postulatem odkrywczego odbiorcy.

Po tych trzech frontalnych przewiduję jeszcze popiersia do połowy środkowej alei na czele z J. Słowackim. Leśmian z jednej strony, a z drugiej naprzeciw Leśmiana Staff i za nim Tuwim. Trzy plus cztery razem Plejada Gwiazd na firmamencie mego nieba poezji. W CZYTELNI prezentowana.

Jak z powyższego widać, cały wysiłek mojej DRUGIEJ OSOBY zmierza do jednego celu: Bieżuniowi, dawnemu kluczowi dóbr bieżuńskich w dolinie rzeki Wkry, przywrócić bezprawnie odebrane przez ukaz carski klucze Miasta.

Przemawiają za tym: 1) argumenty historyczne z Andrzejem Zamoyskim, pionierem Wieku Oświecenia chłopskim i mieszczańskim, 2) kompleksowe rozwiązanie regulacji rzeki Wkry w powiązaniu z zagospodarowaniem doliny rzeki i ze skomasowaniem łąk i pól w powiązaniu z siecią dróg nowoczesnych o charakterze komunikacyjnym, 3) Liceum Ogólnokształcące, jedno z pierwszych w gminie, założone już w r. 1945 od blisko 20 lat w nowym budynku, 4) nowowytbudowany Ośrodek Zdrowia z zapleczem Szpitala w Żurominie, 4) Dom Kultury w połączeniu z Domem Strażaka, Kino Kalina, Muzeum Małomiejskie.

Przemawiają również za tym inwestycje zaczęte, kontynuowane lub na ukończeniu: 1) wielka inwestycja Zbiorczej Szkoły z datą ukończenia w 1986 r. 2) wielka druga inwestycja, którą realizuje STOMIL, w pałacu pozamoyskim z zabytkowym parkiem wysokiej klasy o charakterze reprezentacyjnym i rekreacyjno-wczasowym, wlokąca się, ślimacząca. Sądzę, jeśli Zamoyski wróci do miasta, to i prędzej wróci do pałacu z parkiem; 3) znacznie prędzej, bo za dwa lata, zostanie uruchomiona filia związana z Pułtuskiem – Zakładów Róży Luksemburg w Warszawie, mająca zatrudnić 500-osobową załogę; 4) z mniejszych inwestycji I VIII r.b. wejdzie do nowego adaptowanego budynku poczta z aparatami już bez korbek, zautomatyzowana; 5) a w budynku po poczcie zostanie wreszcie otwarta Księgarnia Domu Książki.

Biezuń ma już budynek dwupiętrowy narożny odpowiednio wyremontowany mogący pomieścić zarówno urząd gminny, jak i urząd miejski z placami pod rozbudowę na przyszłość. Poza tym ma wygląd i infrastrukturę miasta.

Z tego wszystkiego widać, że Biezuń jako wieś gminna dochodzi do szczytowych swoich możliwości. Grozi mu dreptanie w miejscu, w zastojach ograniczanie się do wegetacji i pokonywania trudności nie do zwalczania.

Powiat zginął, lecz przez coraz liczniejsze rejony żyje jeszcze zdecentralizowany. Przykładowo w drogach rejon znajduje się w Działdowie, chociaż w Żurominie miał odpowiednią bazę. Jeśli mają rację rejony, to w bliższym zasięgu, a nie tak dalekim, w którym gminy znajdujące się na skraju w stanie pożałowania godnym, a nawet oplakany.

Narzekamy na decentralizację oddaloną, ale i o najbliższej w Żurominie poza szpitalem i Bankiem Narodowym nic dobrego powiedzieć, bo w nim panuje widmo dawnego powiatu, zwłaszcza w towarach, materiałach i w całym zaopatrzeniu rynkowym przez Ciechanów via Żuromin. Ilość i jakość na tym cierpi, gdyż kto ma bezpośrednie zaopatrzenie zawsze nad pośrednim góruje.

A więc za przywróceniem praw przemawiają pozytywy, z których wiele zawdzięczamy Wojewodzie Jerzemu Wierzchowskiemu, jak również przemawiają negatywy. Czekamy z całą ufnością na nową ustawę o samorządzie terytorialnym, gdyż on między innymi Wojewodom powierza nadawanie praw miejskich, jeśli są argumenty za tym przemawiające. Dochodzi do nich też rocznica 40 lat istnienia PRL. W moim przekonaniu i w moim czterdziestoletnim dla Bieżunia, poczynając od Szkoły Średniej w gminie, Drugiej Osoby Działaniu nie widzę bardziej odpowiedniej daty niż 1985 r. z trzema jego przełomowymi dniami:

19 stycznia, w pierwszym dniu odzyskanej wolności, powzięcie przez WRN w Ciechanowie uchwały o przywrócenie praw miejskich Bieżuniowi;

9 maja w Dniu Zwycięstwa zatwierdzenie uchwały i wydanie ustawy przez Radę Państwa ab urbe condita trzeciej po 1406 i po 1767 roku;¹⁵

22 lipca w dniu Manifestu Lipcowego wręczenie Bieżuniowi przywróconych praw miejskich przez Wojewodę Ciechanowskiego, Pierwszego Zasłużonego Obywatela miasta Bieżunia, restytuowanego.

To w zamyśle, a w rzeczywistości wystarczy samo Święto Lipcowe, zamykające uroczystości CZTERDZIESTOLECIA.

To jeszcze nie koniec. To dopiero początek. Za Bieżuniem powinny pójść inne miasta, którym bezprawnie odebrano prawa pod warunkiem, jeśli na to

zasłużą: 1) na CZTERDZIESTOPIĘCIOLECIE w r. 1990 Szreńsk, znaczniejszy ongiś od Bieżunia, a nawet od Mławy, zabytkowym kościołem i zamkiem, który z ruin wydobyć należy; 2) na PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE Sochocin, była siedziba powiatu dawnej ziemi ciechanowskiej, obecnie jednej z aktywniejszych gmin; 3) na ROK DWUTYSIĘCZNY Nowe Miasto, miasto książęce browarów i gorzelnii, targowe i jarmarczne koni i bydła, swego czasu odgrywające większą rolę niż Nasielsk. Potem światło zielone dla Radzanowa, Kuczborka, Lubowidza...

Całe moje życie zamyka się w wieku XX i chociaż końca tego wieku nie ma mowy, żebym doczekał, do tego wieku należę, chociaż korzeniami sięgam do tradycji romantycznych i pozytywistycznych humanistycznych wieku XIX. Przez wiek XX w drugiej połowie z niego się wyłamałem, ale z tym przekonaniem, że XXI wiek tradycyjną tezę z nowoczesną antytezą odnajdzie dla siebie perspektywę w syntezie. Wielkie przemysłowe rozbudowane miasta, pudełkowo przeludnione, gorączkowe w pośpiechu, w nadmiarze decybeli hałasu, w powietrzu dymem i gazami zatrutym swoje odium humanistyczne dla regeneracji powinny odnaleźć na łonie natury, z którą utrzymanie kontaktu jest warunkiem sine qua non, jeśli prowincja nie tylko kulturą materialną stanie na poziomie rozwojowo wyższym.

Przypisy^{*)}

1. Kandydatem do Wojewódzkiej Rady Narodowej „przywiezionym w teczce” był Bolesław Przybyszewski, 1. sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Żurominie. O Stefanie Gołębiowskim powiedziano, że nie można go obciążać takimi trudnymi obowiązkami ze względu na zły stan zdrowia, że uzgodniono z nim to i Gołębiowski kandydowania zrzeka się.

2. Chodzi o Stanisława Ilskiego.

3. Powinno być: „Gdyby nie ryby i raki zginęliby bieżuniaki.”

4. Pristman – typ angielskiej koparki, której nazwę przyjęto od nazwy producenta.

5. Henryk Sienkiewicz zbierając materiały do powieści „Krzyżacy” odwiedzał właścicieli majątku w Gołuszynie – Przybojewskich. Jeździł po okolicy, pływał łodzią po Wkrze, która niedaleko rozwidlała się tworząc wyspę. Zauroczony miejscową przyrodą, gród literackiego rycerza Juranda umiejscowił właśnie na tej wyspie, nazywając ją Spychów; zob.: M. Przedpełski, Kępa Juranda. Wokół „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza [w:] „BZH”, 1993, nr 1, s. 54.

*) Przypisy sporządzone przez redakcję

6. Wodociągi w Bieżuniu zbudowano w 1972 r.
7. Jak w przyp. 3.
8. Murowany zamek obronny w Karniszynie został zniszczony definitywnie przez Szwedów w 1656 r., zob.: St. Ilski, Karniszyn nad Lutą – zarys dziejów, „BZH” 1996, nr 9, s. 49.
9. AGAD, Biblioteka Ordynacji Zamoyskich, syg. 586, s. 144, wypis z metryki chrztu (odpis mps tłumaczenie u M. Przedpełskiego): Hieronim Franciszek Andrzej Zamoyski urodził się 30 września 1717 r., ochrzczony 12 października 1717 r. w Gniewie. Nie ma więc pewności, że urodził się w Bieżuniu.
10. J. Wybicki, Listy patriotyczne. List szósty, Wrocław 1955, s. 116.
11. Murowany budynek szkolny przy ul. Zamkowej wybudowano w latach 1803-1806 zgodnie z zarządzeniem władz pruskich. Rozebrano ok. 1974 r., zob.: St. Ilski, J. Siedlecka, Szkoły w gminie Biezuń i ich nauczyciele w l. 1593-1945, „BZH” 1994, nr 2, s. 25.
12. Konstancja Zamoyska zmarła w 1797 r.
13. W dniu 10.08.1971 r. PPRN, Wydział Oświaty i Kultury w Żurominie, zawarł z M. Przedpełskim umowę w sprawie zorganizowania Izby Regionalnej w Bieżuniu. §1 stwierdzał, że M. Przedpełski przekazuje nieodpłatnie swoje zbiory. §2 stanowił, że M. Przedpełski będzie pełnił nieodpłatnie i dożywotnio funkcję kustosza, a po jego śmierci funkcję kustosza przejmie jego córka A.M. Przedpełska. §3 zapewniał M. Przedpełskiemu i jego żonie dożywotnie, bezpłatne korzystanie z dwupokojowego mieszkania, kuchni, łazienki etc. od strony ulicy, bezpłatne światło, telefon i opał. Umowę zakwestionowały władze wojewódzkie w Warszawie i na ich polecenie umowa została przez Radę Narodową jednostronnie zerwana. Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Bieżuniu było wykonawcą poleceń.
14. „Dom Artysty” ni „Dom Polonisty” nie powstał. Jest to obecnie „Dom Poety” z biblioteką.
15. Prawa miejskie zostały Bieżuniowi przywrócone od 1 stycznia 1994 r.